

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

wychodzi co tydzień
w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odosłanie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.	

REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.

Redakcyja i Administracyja Warszawa, Warecka 14.
we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70. Tel. 27-73.

№ 531.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

Wila Zyndram-Kościałkowska.

SZKICE LITERACKIE.

II.

PROMETEUSZ.



Cena 40 kop.
W prenum. 30 1/2 kop.

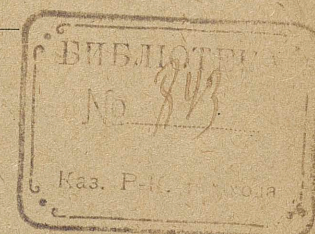
WARSZAWA
Redakcyja i Administracyja Warecka 14. Tel. 114.30.
1908.

B

Roc
Pół
Kw
Za o

~~Włła Zyndram-Kościalkowska.~~

SZKICE LITERACKIE.



II.

PROMETEUSZ.



WARSZAWA
Drukarnia ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1908.



Henrykowi Pusbaumowi.

Grodno. — Warszawa.

1886 — 1907.

„Siła jest mocnych tworów nad człowieka,
Potężniejszego wždy nie ma mocarza”.

Sofokles (Antygona).

W dziejach ducha ludzkiego szczególnie zajęcie budzi zaokrąglanie się w całokształt mytów, podań, wierzeń. Nigdzie duch ludzkości nie przewierciadla się wierniej, jak w czarodziejskiej o Prometeuszu baśni. I ludzkość ożywiającą ją iskrę wykradać musi przyrodzie, czasów biegom, zazdrośnym o nią hierofantom. Zdobyta krwawą najczęściej męką, przechowuje jako najcenniejszą perłę w swych dostojenstwach koronie.

Przez Przemoc obezwładniony, do skały przykuty, sępom na żer wydany, Prometej nie przestaje być tytanem i dobroczyńcą ludzkości. Zdobywa sobie nieśmiertelność. Z więzów rozpętuje go Herakles: wcielenie wytrwałej, przed trudem i ofiarnością nie cofającej się — mocy człowieka.

I.

Mitologowie, opierający się na filologii, z Max Müllerem na czele, zawież czarodziejskiej Prometeusza baśni wywodzą z prastarego aryjskiego dźwięku: *Pramatha*.

Mā oznacza miarę, *Manu* myślenie, ztąd *Ma* myślącego to jest człowieka. *Matha* jest orzeczeniem czynności, *Pra* gwałtowności, a wszystko razem jest nad Gangesem nazwą czynności rozpalania ognia pierwotnym przyrządem, zwanym *Swoscika* a składającym się z wydrążonej kłody i drewnianego kloca, wprawianego w szybką rotację za pomocą konopnego sznura. Na wystawie etnograficznej w Pradze, w 1895 r. znajdował się manekin Wołocha krzeszącego w ten pierwotny sposób ogień. Prostszy jest jeszcze podobny przyrząd, który oglądać można w muzeum etnograficznem w Warszawie. Tak krzesali ogień Słowianie; tak za czasów Plinijusza rozpalali pasterze rzymskiej kampanii; tak Persowie rozpalają swe *farnie*, ogień święty, a Niudurowie „*agni*” dziecię, co ledwie zrodzone,

rodziców swych pożera, wedle malowniczego orzeczenia Rig-Wedy.

Tego pierwotnego sposobu rozpalania ognia człowiek w najwcześniejszym niemowlęctwie ludzkości nauczył się od surowej swej piastunki, lecz najwierniejszej z nauczycielek: przyrody.

Na łasce jej był i nielasce. Przemocna, ze szczególną pieczołowitością pielęgnując wybujałą na swem dziewiczym łonie faunę, olbrzymy i potwory, mało dbała o najmłodsze i najsłabsze swe dziecię: człowieka, o to właśnie, co z biegiem czasu opanować ją miało. Nagi, bezbronny, szukający dźwięków dla wyrażenia zaczątkowych, ograniczonych nader potrzeb, strawę i legowisko zmuszony był wydzierać słabszym od się tworom, by ginąć w paszczy i pod pazurami silniejszych. Wobec tego nie podziwiał dziewiczych piękności swej macierzy, nadmiernie był natomiast czuły na jej grozę. Głód mu doskwierał. Bezdomnego to paliło słońce, to znów smagały wichry, deszcze, szrony, a gdy wzorując się na płazach chronił się, wczółgając w skał czeluści, ciemność owijała go płachtą Dejaniry, zmorą strachu sen płosząc z ociężałych powiek, włos jeżąc złowrogimi szelesty, członki kureząc ślizkich zetknięć chłodem, w zęby dzwoniąc tajemnicy technieniem. Ciemność musiała być pierwszym i najgroźniejszym wrogiem człowieka. Wszystkie ludy piekło, miejscce kary i rozpaczy, wyobrażają jako otechłań ciemności. W Mezopotamii oskarżają ciemność, że ptakom skrzydła płące i gołębiom do gniazd wrócić nie daje. Pograżonych w ciemnościach, Eschylos nazywa „sennemi, płatającemi pasma czaru marami”

a Arystofanes w „Ptakach” — „liściem opadłym”. Zaćmienie słońca dotąd wywołuje panikę w ciemnym ludzie, a narody wschodnie, przy łada zaćmieniu księżyca, w lament biją.

W pierwotnej nędzy pierwotnego człowieka pragnienie światła musiało być najgwałtowniejszym pożądaniem; rozbudzało zdrętwiałe instynkty; muskularne ramiona popychało do czynu; w myśl senną, w pierś włochatą rzucało pierwsze nasienie tęsknoty. Wysoko, na nieboskłonach, słońce odbywało codzienne ze wschodu na zachód wędrówki, a gdy zapadła noc pogodna, na firmamencie zapalały się gwiazd miryjady, a srebrny miesiąc igrał z białawych obłoków kędziorami. Gdy się znów nad ziemią kłębiły czarne chmury, przedzierały je olśniewające błyskawice, sypiąc z hukiem i trzaskiem iskry węzowate, szybkołotne. Działo się to wysoko, w strefach niedostępnych, budzących podziw i lęk w pierwotnym człowieku, to też światło i ogień uznał za własność niepodzielną istot niewidzialnych, nadprzyrodzonych. Szukając jednak schronienia od deszczu lub żrących promieni słońca pod konarami drzew rozłożystych, tuląc się do pierwszych swych przyjaciół: do pni omszałych, zauważył, że tarcie się jednych o drugie suchych gałęzi, wywołuje zjawisko podobne do niepochwytanego, nadpowietrznego: iskry. Ośmielony pochwytnością zjawiska spróbował naśladować czynność przyrody. (Lukrecjusz „*De Rerum* ks. V).

Pierwszy to i najdonioślejszy wynalazek: nabywanie świadomości własnego uzdolnienia! Pierwszy krok ku wyzwoleniu: otrząśnięcie się z niewolnictwa

czego lęku. Pierwsze pytające spojrzenie rzucone w zagadkową twarz surowej piastunki przyrody, uchylenie rąbka jej tajemniczej szaty; pierwsze nad nią zwycięstwa, czyli raczej zawieź sojuszu, mocą którego człowiek z czasem wzrośnie na:

„Potężnego śród możnych tworów mocarza“
Sofokles (*Antygona*).

Otworzyło się pole czynu, walk, wynalazków. Ciekawość otworzyła umysł człowieka, nadzieja—serce, droga dla miłości została otwartą, wyobraźnia poczęła snuć wnioski i domysły, a na barwnej nici baśni nawiązywać coraz częściej prawdy supelki. Już w najwcześniejszym swym niemowlęctwie człowiek uznał *światło* za jednoznaczne z *prawdą*, za początek i jądro wszechrzeczy. Rig Wedy zważy agni głową nieba i ziemi, w nim i przezeń każą istnieć bóstwu. Na egipskich hermesach światło zwie się mądrością, a ogień słowem bożem. Lukrecjusz (De Rerum ks. IV w 1,010) opowiada cywilizacyjne znaczenie pierwszej wykrzesanej iskry. Ona stworzyła domowe ognisko, stadło, ojcostwo. Z poczuciem ojcostwa powstało rozumienie władzy i uległości, odpowiedzialności i obowiązku, wytknięta została droga, na której stadło rozwinęło się w rodzinę, rodzina w plemię, plemię w naród, narody zleją się kiedyś w bratnią ludzkość. Ognisko zostało zawieżią osady, grodu, ojczyzny; pierwszą i zazdrośnie strzeżoną własnością, znamię pewnej wspólności i pewnej odrębności, tych właśnie, na jakich zasadza się społeczeństwo czło-

wieka jednostki. „Nie bierz iskry z cudzego ogniska” brzmi bezwzględnie, w bezwzględności tej prze-mądre prawo Synaju. Judei szło o przechowanie własnych, raz w raz zalewem wrogów gaszonych ognia, a zachowanie narodowej odrębności po dziś dzień stanowi podstawę pomyślnego rozwoju ludzkości. Grecya nie dopuszczała do głosowania, uważając za obcego w grodzie obywatela, co utracił swe ognisko. To wczesne obwarowanie prawem i tradycją narodowej odrębności jest tak zakorzenione w ludzkości, że nawet murzyn grubowargi, odchodząc od swej osady unosi z sobą przez Afrykańską pustynię węgiel rozrzucony u plemiennego ogniska, plemiennej łączności znamię.

Czuwanie też nad plemiennem ogniskiem, wszędzie i zawsze udziela szczególnego dostojęstwa, szczególne przywileje, w zamian za odpowiedzialność i ofiarność, jakich się domaga: od mężów żąda mądrości i przenikliwości wróżbitów, od niewiast dziewiczej czystości. Nad Gangesem sami bramini godni są straż trzymać przy Agni. Egipskiego Pffa strzegą kapłani. W Meksyku są strózkami ognia najpiękniejsze, najszlachetniejsze krwi dziewice. Grecya miała sybille, westalki Roma, na piaszczystym wybrzeżu Bałtyku znicza strzegła Witoldów matka: Biruta.

Ogień najrozmaitsze też posiada symboliczne znaczenie. W Egipcie ma coś w sobie z natury zwierzęcej, jeśli Cyceon w dziele swem o naturze bogów zwie go: „*ignis animal*”. W Persyi zlewa się z wyobrażeniem rozrodczej męskiej siły. W Grecyi już dla Heraklesa jest wszechpierzwiastkiem. Eury-

pides w „Bachantkach” uważa ogień za objawienie życiodajnego Dyonizosa. U stóp Himalai wcześniej, bardzo wcześniej, zanim powstały Rig-Wedy, ogień przepołowił się na dwa odmienne, chociaż najściślej z sobą związane pierwiastki: niebiański i ziemski, duchowy i materialny, agni bowiem jest dwulicy i wydziela z siebie niepochwytnego, a wszystko obejmującego Atmar’a płomień. Gdy nad Gangesem dłoń syna podpala stos wonny, na którym spoczywają zwłoki rodzica, brahmini żalów nie zawodzą. Owszem, pieśnią tryumfu biją w niebogłosy: „Wzrok twój — pieją — niech się ku słońcu zwróci, wichry podniebne pochwyć twoje technienie, a ów lotny twej istności pierwiastek, co wcielonym był w tobie, dobry Agni uniesie w krainę wiekuistej światłości”. (Rig-Wedy).

Mamy już ją! Psychę skrzydlatą, duszę oderwaną od materii, płomień od zarzewia. Mamy ją, i mniejsza z tem czy w rozkochanej doczesności Grecyi pozostanie cieniem bladym, czy ją „blandula” zwać będzie Rzymianin, czy obłokiem zawisnie nad Grönlandem, wonią kwiecia w Polinezyi, i mniejsza z tem ile lat, lat setek ile cicha i cierpliwa, z ptasią głową Horusa, z długimi na wąskich ramionach skrzyżowanymi dłońmi, pod ciężkich piramid mrokiem strzedz będzie zwłok swych zabalsamowanych, już się oddzieliła od materii, rozwinęła skrzydła, zapragnęła nieśmiertelności, ku zmartwychwstaniom się wzbila. Że zaś miarę nieśmiertelności sama miłość dać może, Rig Wedy (Ks. II h. 29) łącząc w jedno miłość z ogniem, zwą ją: iskrawą co niebo i ziemię przenika.

Gdy się z ognia wyłoniły nieśmiertelność i miłość, te dwa skrzydła ludzkiego ducha, pierwsza też iskra rozświeciła otchłań sumienia ludzkiego, rozwieszając po nad nią szalę zła i dobra. Rozpoczął się na wszechprzestrzeni i trwa w wszechczasie bój światła i cieni, dnia i nocy. Wszystko, co zdrowe, dzielne, pożyteczne, pożądane stanęło pod sztandarem dnia i światła, co złe, szkodliwe, szpetne, fałszywe zwiększa nocy i ciemności hufce. W Madagaskarze za bary się biorą Niang i Zauszar. W Persyi Ormuzd z Aryhmanem, mgły gęste i jutrzienki złote. Nad Himalai — chmury wojują, ze słońcem; nad Himetem Zeus Olimpijski i ponure tytany, bogowie i potwory pomocne i szkodliwe siły przyrody, złe i dobre instynkty człowieka, postęp i wsteczność. Ile w tej walce runęło słońce-swiatów, w jakie się garby i przepaście podarły zebra ziemi, w posadach swych zachwianej koniecznymi i geologicznymi przewrotami; ile na to spadło stuleci i tysiącleci! Ile zaszło rasowych, narodowych, epicznych, lokalnych wydarzeń, zawikłań; ile wybuchło i zgasło wulkanów i geniuszów, jakim i jak bujnym wszystko to porosło kwieciami wierzeń, podań, poezji! Kto powie? Kto zliczy? Dość, że zawsze i wszędzie światło osiąga zwycięstwo.

Zawsze i wszędzie, aczkolwiek długie bywają noce i niepewne świty, Horus zwycięża Tyfona, Fexydon, mściciel pokrzywdzonych strąca w przepaść zjadacza mózgów ludzkich Zahaka perskiego. Górą Indra, Zeus górą. Z pod ogólnego niemal prawidła wymyka się tylko ponure państwo Odyna i jedna z najciekawszych i zapewne najdonioślejszych

baśni wielkorusów. Gdy w słowiańszczyźnie całej, jak długa, szeroka: u Polaków, Czechów, Serbów, Bulgarów, Słowienców, Łużyczan krążą baśni o bohaterach uśpionych, jakimiś złemi mocami obezwładnionych, w łonie ojczystej ziemi—symbol ukrytej lecz świadomej siebie etycznej siły!—co, kiedyś powstaną, by sprawiedliwość wymierzyć, baśń wielkoruska, w pieczarach swych trzyma okute zbójce brodacze. Biada, gdy się zerwą z łańcucha! „świat zburzą i słońce zgaszą,” wedle słów baśni ludowej.

I nie tylko zdobycie ognia uspołeczniło ludzkość; rozbudziło w człowieku samowiedzę swych uzdolnień, pragnienie nieśmiertelności, nadzieję, miłość, w sumieniu ludzkim oddzieliło stanowczo złe od dobra, zostało nadto zawieżcą pierwszych odrwanych pojęć, poczucia boskości i kultu węgielnym jakoby kamieniem. Księgi Azteków—„Popol wuh”—opiewają, że po nad nurzającym się w próżni światem bogowie powstałi „jako wzmagająca się światłość”. Lubok, jako czczycieli ognia wylicza: Scytów, Persów, Chaldejczyków, Asyryjczyków, Sarmatów i innych wielu („The Origins of civilisation”). Płoną ofiarne ognie w Kaszmirze, Kapedocyi, Babilonie, w Tyrze i Frygii. Rozpalają je na ołtarzach wybrzeży Atlantyku i Oceanu Spokojnego, pod dębami Normandyi i w litewskich borach. Ogień, nieoddzielna część wszelkiego rytuału, zostaje pośrednikiem tam, gdzie nie jest treścią ofiary.

Tylko ofiar pobudki, cele i przedmioty różne bywają. To już zależy od chwili w czasów biegu od linii geograficznej szerokości, inaczej mówiąc: od temperamentu, stopnia etycznych i filozoficznych

uzdolnień i społecznego rozwoju ofiarników. Tu krew się leje, tam wznoszą się wonnych kadzidel dymy. W Meksyku kapłan krzesze ogień ofiarny na rozprutej piersi i drgającym jeszcze sercu najpiękniejszego i najdostojniejszego z wojennych jeńców, Teoss o lepsze walczy z ohydny Mollochem; w Grecyi ojciec Ifigenii w patryotycznej ofierze na stos wiedzie córkę, a kosze kwiecica i owoców pod orfizmu dobroczynnemi wpływami starają się zastąpić hekatombę! Wyrocznia delficka garść jałowej ziemi przyniesioną przez ubogiego górala uważa za przedniejszą i miłszą bogom ofiarę od stu wołów wystawionych przez bogatego Tessalończyka. Bramińskie niosą w ofierze agni drzewa brzemie i wiązkę ziół wonnych; Persowie swe *farnie* ognie święte boją się skałać najwonnejszą przymieszką. Niech ogień płonie sam sobą się zasilając.

Lecz jeśli natura ofiary — to jest wcielonej w czyn określony intencji: uczczenia bóstwa, zjednania go sobie lub prześlągania jego gniewu—jeśli natura kultu—to jest uczuć i przekonań, tradycji i dociekań, doprowadzonych do pewnego mianownika i zebranych w pewien etyczny, filozoficzny i społeczny systemat, zależą od danej w toku dziejów chwili i od geograficznej szerokości, wyrokujących o temperamentie i stopniu rozwoju ofiarników; to znów sam popęd do składania ofiar, korekcja się przed czemś lub przed kimś, uczczenia czegoś lub kogoś, powstać musiał przy pierwszym wzniesieniu oczu i ramion w górę, z pierwszego starcia się lęku z nadzieją, miłości z nienawiścią, przy pierwszym, zaczątkowym odróżnieniu zła od

dobra, światła od ciemności. Carlyle pisze dosadnie:

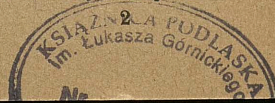
„Pokaż najgłupszemu prorokowi i pokaż najchelpliwszemu z dandysów istotę, którą ten i tamten uznają za wyższą od siebie a chociażby kolana ich jako spież stężały ugną je w uwielbieniu.“

Co będzie uznana i uwielbienie budzącą wyższością, w tem rzecz! Zawsze i wszędzie miara wierzeń i wypływającej z nich czei jest miarą skali uczuć, wyobrażeń i intelektualnej kultury człowieka i społeczeństwa, z uczuć tych i wyobrażeń powstałych wniosków, pragnień, dążeń, z których tak każdy z osobna człowiek, jak pokolenia, narody, społeczeństwa wbijają cokoły pod swe ideały, stawia mety pragnień swych, hermesy na stadyach rozwoju swego.

Drabina wierzeń ludzkich podobna do tej, co w biblijnym śnie Jakóba z ziemi ku niebu się wznosiła: mocowanie się człowieka z aniołem, materyi z oderwaniem, wspinanie się istoty ludzkiej i ludzkości całej coraz wyżej, wśród nieobrachowanych przepaści, ku zawrotnym szczytom. U dołu, u samego rządu duchem ludzkim przypadek wraz z nieokreślanymi siłami przyrody. Na łaskę jej i nielaskę oddany pierwotnik drży przed jej mocą i tajemniczością, korzy się przed fetyszem, wierzy w amulet i w szamana, w samym przyrodzonym porządku przyrody podejrzewając zagadkową dowolność. Fellah rolnik ubóstwia mlekodajne trzody; Egipcyanin Ibisa, oczyszczającego z gadów pod wylewem Nilu rozmokłą ziemię. Wskazujące im drogi gwiazdy są przedmiotem czei dla koczujących plemion

Azyi. Dla Greka, w okresie peryklesowym zwłaszcza, rymem i rytmem wierzeń: miara: i piękno, co oko pieści, słuch zajmuje, wyobraźnię porывa. Dla Rzymian moc woli i oręża, enoty obywatelskie rzeczypospolitej, cezaryzm, potem miłość i braterstwo, ducha wyzwolenie treścią nauki Chrystusowej. Śród zamgleń średniowiecznej metafizyki mistyk tonie w nadprzyrodzoności, uczony szuka w nauce pewnika, szczęśliwy, gdy cień jego pochwyci, a iluż z okrzyczanych dziś „niedowiarków”, ku ideałom prawdy i sprawiedliwości utęsknione wyciąga ramiona. Sam sceptycyzm jest bólem i pragnieniem prawdy.

Na szczeblach ziemię z niebem wiążącej drabiny z jednego pnia powstałe lecz odmienne wierzenia ścierają się i walczą z sobą. Doświadczenie i najzuchwalsze hipotezy, absurd i pewnik matematyczny, lęk i podziw, pycha i pokora, ufność dziecięcia i aż zrozpaczone zwątpienie, prostota gołębia i świadoma najbliższych swych celów hipokryzja, niewolniczość bierna i niezależność harda, przedsiębiorczość i apatya, zapal i obojętność, spychają się wzajemnie, po nieomyślności sięgając sztandary. Na każdym kroku twierdzenie spotyka się z przeczeniem i na każdym szczeblu olbrzymiej drabiny ludzkich wierzeń i ideałów znaleźć się muszą Sokratesy, domagający się prawa wierzenia w coś po nad Hefajsta i Afrodite. W którejże z najśmielszych hipotez, w którym z najgłębszych wtajemniczeń, w której bryle najściślejszych systematów tkwi prawda cała, absolutna, niepodzielna? Dość, że jedną jej cząstkę wydzielić można aż z zaczątkowych



atomów baśni, że się ta cząstka uskrzydla wierzeniem i tęsknotą, niosąc ustawiczne z wieku na wiek stwierdzające się świadectwo zdolności do skonalenia się ducha ludzkiego. Oto z *Pramathy*, prastarego dźwięku, rośnie i olbrzymieje: Prometej.

II.

Za wiekami wieki biegły. Kto zliczy poranki i wieczory ubiegłe od wykrzesania pierwszej iskry, do chwili, — też już bardzo od nas odległej w czasie — gdy nieustraszony kochanek monad normandzkich, Celt, stanął do walki z burzą samą, w brzemienne piorunami chmury ciskając sokołopióre strzały?

Drogi przeobrażeń i ewolucyi ducha ludzkiego mierzyć się dadzą raczej na żółwie piastki, niż na orle wzloty. Dłuższe tam noce, mglistsze świty, niż brzaski różowe. Na błędnych skłonach krwawią się zwykle dobie swej przewodniczące wodze. Na obiatę naglających potrzeb danej chwili idą nieraz stuleci pracowite dobytki. Pnące się w górę szlaki motłoch usiłuje zawsze ściągnąć pod swe stopy i nie raz je ściąga, depce złą wiarą, zalewa fanatyzmem omija niezrozumieniem, własną skalą obniża i nieraz przez stulecia, przez długie, ciągną się one w zapomnienia pyle, gdzieniegdzie zaledwie okwie-

cone legendy kwieciem, lżą tęsknoty zroszone, szronem poezji ubrylantowane.

W takiej to głuszy drzemiała prastara *Pramaha*. Zahimalajscy Aryowie, w oderwaniu pierwsi mistrze, popadli w Nirwanę. Podzwrotnikowe żary przepaliły mózg czarnoskórych ras, a surowa przyroda opóźniała na północy dziejowe brzaski. Tylko nad jońskich mórz gwiaździstym archipelagiem i wzorzysto dzierzganem wybrzeżem dziejowe rozkwitły wiosny. Gdy nad Gangesem Hindus, wpadając z zagadki w zagadkę, zapadł w przepaść nirwany, tu Edyp zwalczał egipskiego sfinxa a Aleksander rozcinał gordyjskiego węzła sploty. Tam Sakya Muni rozpływał się w zahimalajskim panteizmie jak ono, opiane przez Rig Wedy, ziarno soli, co się rozplywa w morzu, tu Aristoteles wszechświat ujął w liczbę i Grek, podbijając przyrodę, nie roztopił się w niej bynajmniej, owszem, zapłodnił ją swym indywidualizmem, zindywidualizował każdy jej przejaw, w konkretne wcielać kształty. Tem się zasadniczo różni panteizm grecki od aryjskiego. Wcielen tych przedziwnych, twórczych Grek dokonał za pomocą liczby i miary, z którymi się nosił i które do oderwań bogdaj stosował, lecz i czegoś więcej, tego, co go popychało do ruchu, czynu, raz wraz odrywając od oderwań wszelakich. Gdyby obok właściwej sobie miary i wrodzonej konkretności w jakie ujmował swe wyobrażenia nie posiadał iskry twórczej, zostałby geometrą nie artystą, rachmistrzem nie poetą, biurokratą nie filozofem. Gdyby go ta twórczość nie popychała z jednej strony do kolonizacji, z drugiej do wcielania

w plastyczne kształty rojących się przed oczyma jego duszy i wyobraźni uczuć i wyobrażeń, poszedłby jak Rzymianin drogą orężnych zdobyczy, nie „helenizował” by barbarzyńców, nie zindywidualizowałby za pomocą plastycznej sztuki przyrody. Na szczęście ludzkości geograficzne położenie Grecji zmusiło ją do skupienia władz swych i właściwości rasowej. Dawno Grecja strąconą została z politycznej, wypadkowości podległej szachownicy, wymazaną z narodów rzędu. Sam jej język przekształcił się i dawny—język Eschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, Anakreona, umarłego nosi miano... a duch hellady całą przenika cywilizację. Wszystkie ludy szukają w niej duchowej filijacji, a geneza ducha, jak genealogia rodu tem przedniejsza im starsza. Same niedojrzałe rody i narody przechwalają się samorodztwem jak ów ośmieszony przez Dickens’a („Hard Times”) Baunderby. Tylko nad Sprewą i czasem nad Newą nie przyznają się młode szczepy do duchowego tego pokrewieństwa. Tylko Kostomarew (wiersz „Hellada”) złorzeczy prastarej hellenkiej puściźnie. Gdzieindziej pozostaje ona nade wszystko cenionym dobytkiem. Sami Rzymianie w podbitej Grecji uznali mistrzynią, a sama już ta szczerłość daje miarę istotnej wielkości Romy. Wielką została nawet w podbojach; nie niszczyła ani języka ani cywilizacji podbitych, bogi ich nawet wprowadzając gościnnie w swe mury. Najbardziej rzymski z wszech Rzymian, Lukrecyusz (księga VI w. 1) przyznaje Grecji pierwszeństwo; Horacy (Oda „ad Jul. Ant.”) grozi losem Ikaraa śmiałkowi, uganiającemu się za słońcem greckich wzorów, a Cyce-

ron („Rozm. Tusk.” ks. XI) wzory one doradza studyować dniem i nocą.

Dzięki właściwościom swym Grecya o bardzo wczesnej dobie otrząsnęła się z fetyszyzmu. Pauzanjasz na dwa wieki przed naszą erą natrafił na zatarłe już jego ślady. Wcześniej, cześć pierwotną odbierające kamienne bryły przybrały postać wdzięcznych hermesów lub i samego Zeusa, Teoliosa. W Tessalii przypięto im erosowe skrzydła. Oweczesnym dziejowem zaraniu, technienie Hellady, wydmuchało Olimp wprowadzić z promieni słonecznych, z barw tęczy, lecz na wzór i podobieństwo ziemskiej, greckiej ojczyzny, przypadłej do stóp Olimpu, z niewyczerpanem bogactwem lokalnych szczegółów, przygód i obyczajów nie nazbyt, co prawda, budujących, lecz zawsze na wskroś ludzkich i narodowych. Śty Augustyn twierdzi że bogowie byli tem, czem ich mieć chcieli pieśniarze. Raptularza Olimpu nie spisywali ani królowie, ani hierofanci, ani prawodawcy. Układali *Aojdowie*, pieśniarze, kość z kości i krew z krwi narodu.

Kłeskami politycznymi, najazdem wrogów raz wraz nawiedzona, w karbach jedynobóstwa zaledwie mogąca zostać utrzymana Judea, harfiarzom swym krwawiła palce, by narodowej harfy nie zbezczeszcili pieśnią w niewoli. Raz kazała im miotać przekleństwa na najeźdźcę, drugi prorokować sobie upragnione odwety: zbawcę, Mesyasza. Gdy zawodziły proroctwa, gdy się ich spełnienie ociągało, Judea kamienowała proroki swoje, a w prochu i we łzach tarzając się przed Wszechmocnym a nieuję-

tym, odległym, zaledwie objawienie bóstwa przyjmowała w gorejącego krzaka płomieniu.

Politycznie i ekonomicznie najpomyślniej rozwijająca się wczesna Hellada, w twórczej swej rzadkości i wylewie właściwego sobie indywidualizmu, popadła w politeizm, a od lirników swych odmiennej od hebrajskiej zażądała pieśni. Nie proroctw pragnęła—od tego miała sybille, wróżbitów, trójnogi. Żądała dźwięków, co ucho pieszcza, porywają wyobraźnię, a pod oczy podsuwają barwnych, plastycznych obrazów szeregi. Niech baśń będzie ruchliwą jak ono rojne nad Cefisem życie, a ze słów, rymu, rytmu niech powstają gotowe modły bohaterów i mędrców, tak plastyczne, by im snycerze nie dodać, nie ująć nie potrzebowali. Pomiedzy słowem a czynem, dźwiękiem a spiżem i kamieniem, myślą a barwą i piórem sam proceder stanowi różnicę na gruncie, kędy Pindar i Leonidas, Homer i Fidyasz, Demostenes, Eschylos i Perykles, matka Grakchów i Aspazya z jednego i tego samego powstali rzutu.

Jeśli w krzaczastym lesie greckich baśni znajduje się z obcych zasiewów płonka, rzeczą pieśniarza latorośl do swojskich nagiąć kształtów, bo pieśniarz prawy od rodzimej nie odrywa się gleby, wszystko w nią wkłada i wszystko z niej czerpie. Dlatego to Grecy na rodzinnym gruncie, tuż, obok, na Olimpie, osadzili swe bogi, z Iliady wytworzyli swą biblię, od Pindara i Hezioda przyjmując kانونiczne prawo. Byle pieśniarz opowiadał o bogach pięknie a potoczyscie, a wszystko było mu wolno, nic go nie krępowało oprócz ducha narodowego,

a słuchacze zawsze byli gotowi przyklasnąć mu, jak gotowi byli cześć boską oddać piękności zwykłego śmiertelnika Filipa z Kronosu, rozgrzeszyć Frynę, na ołtarzach stawiać rozkochanem dżutem Fidyasza toczzone postacie współczesnych Atenek (Pauzanjasz X. 14. 7.). Wszak Pindar pisze wyraźnie, że „miód wdzięku używa powagi zmyśleniu!”

Więc się i posługuje „miodem wdzięku“ grecki politeizm i tworzy bogów na wzór i podobieństwo ludzi. Każe im kochać i nienawidzić, walczyć, używać, rozkoszą dyszeć, pożądać, w podstępny się bawić, cierpieć nawet, podlegać nie tylko ludzkim namiętnościom, lecz i zdrożnościom i słabostkom samym, nawet ich nieśmiertelność czyniąc względną, skoro ich poddaje nieubłaganej władzy Dike, przeznaczenia.

Obok obowiązku wymyślania i opiewania z „miodem wdzięku“, coraz to nowych bogów, pieśniarze greccy mieli drugi, równie przedni, przedniejszy jeszcze może, opiewania ludzi, to jest ziomków swych Greków, w baśń czarodziejską, w bogów rzędy wplatania imion przodków, a współczesnym dorabiania genealogii częstokroć cudackich, sprzecznych, nie dających się wtłoczyć w żadne chronologiczne ramy, lecz zmierzające wprost do podniesienia blasku achajów.

Za spełnione zadanie Grecy płacili pieśniarzom sowicie. Jeśli dla bohaterów mieli ostracyzm i wygnania chleb gorzki, cykutę dla mędrców, dla pieśniarzy mieli same wienice, cześć, miłość. Któżby śmiał w Grecyi całej znieważyć wieszczą; co two-

rzył bogi, a ludziom przedziwne dorabiał genealogie!

Nie na samym zresztą Peloponezie człowiek zhardział odkąd pozbył się pierwotnego lęku i pokory niewolnictwa. Teraz to już nawet, w młodzieńczej chępliwości przeceniał nieraz stanowisko swe w przyrodzie. Czerwonoskórzy Meksykanie narodowemu bohaterowi, Wirachora, kazali tworzyć gwiazdy, wobec całego zebranego ludu. Dla druidów, we wszech rzeczy zaczątkowaniu, pierwiastek człowieczy zlał się ze światłością. W Indyach ucłowieczony bohater Makhabaraty zwyciężył samego Indrę, słońce! Chępliwość ludzka, a zwłaszcza w niedojrzałości epok, granic nie zna, cóż dziwnego, że Heziod, grecki Nestor, ludzi i bogów wywiódł ze wspólnego pierwiastka; a Homer w epicznych swych bojach tak dobrze zmieszał na raz bogów i bohaterów, że wszyscy razem zostali nieśmiertelnymi. W arystokratycznych Atenach, gdzie bogdaj mocarz ościenny był tylko *metekiem*, nikt by się nie zgodził wywodzić jak Kafrowie, Indianie meksykańscy i tam inni *minorum gentium*, od drzew, płazów, zwierząt, ptaków. Dobrzy i piękni, a za takich się mieli rodacy Fidyasza — nie chcieli się też wywieść z pospolitej gliny. Ha! wszak posiadali Panteliku marmur lśniący a w najwcześniejszym swem bogdaj dzieciństwie nie mogli być chyba mniej uzdolnieni od pszczoł rodzimego Hymetu, co z wosku lepiły pierwowzór delfickiej świątyni, lub od fruujących nad oliwkowym gajem koników polnych, co, niegdyś ludźmi będąc, tak się zasłuchali w melodyę, że się pozbyli snu i posiłku, oderwali

od ziemi i oto, fruwając ponad nią, znoszą na Olimp wieść o każdym zasłyszonym u stóp góry, poetycznym szmerze. Kto wie czy nie przedziwni ci plotkarze zasilają skarbiec Mnemozyny, nie są cór jej piastunami, bo jeśli wedle słów Ś-go Augustyna, bogowie tem są, czem ich chcą mieć pieśniarze, o ileż więcej Muza narodowa tem jest, czem ją wydmucha z siebie i w górę wzbija teńnienie ludu.

Dobrzy i piękni, gardząc pospolitą heraldyką wywiedli się z kamieni, to jest z kości rodzimej swej ziemi, od Deukaliona, Dedala słynnego budowniczego, od Ikara co o lepsze chciał walczyć z Heliosa płowemi rumakami, w rzeczy zaś samej od dostojniejszego jeszcze praszczura, od ogniodawcy—Prometeusza.

I oto, z echa zasłyszanej u swej dziejowej kołębki kołysanki, z przyciszonego biegiem czasu aryjskiego dźwięku, teńnienie rozśpiewanej Hellady wydzwoniło epopeję ludzkości. Na wymykającą się ze zgrzybiałych dłoni brahminów *swortike*, Grecya, ze zwykłym sobie poetycznym rozmachem, zaczęła motać pasmo czarodziejskiej baśni. Nigdzie chyba ogień nie grał tak ważnej roli, jak w Grecyi. Bez niego Grek nie osiągnąłby tego, co na równi z ojczyzną i niezależnością cenil: sztuki i przemysłu.

Z bioder gór poszarpanych kataklizmami wyglądał marmur, który się nadawał na łono Afrodyty, stopy Artemidy, ramiona Hery. Z gór, na Lemnosie buchały skry i dymy, widome znaki głuchej, w łonie ziemi pracy. Na wulkanicznej tej wyspie, dzielnicy prastarych, tajemniczych, na poły już zapomnianych Kabirów, wyobraźnia grecka osadziła

najsympatyczniejszego z Olimpijezyków, Hefajstosa, orędownika pracy, budowniczego Olimpu, bożka ognia.

Sam Zeus, we wszechwładnej dłoni dzierzył piorunowe iskry, a Hefajst został patronem żywiołu, co w łonie ziemi przetapia kruszcę, olimpijskim hutnikiem. Domowe znów ognisko oddane zostało „pięknodajnej” Hertyi, córce Rhei i Kronosa, siostrze Zeusa.

„Pięknodajna” musiała być sama niezwykle piękną, chociaż wyniosłą i surową, jeśli wierzyć mamy jej podobiznie znajdującej się w pałacu Torlonia, w Rzymie (Hestia Justiniani). Zalecał się do niej Poseidon, w sto białych przyjeżdżając koni, zalecał gładkoliccy syn Latony. Wzgardziła tym i tamtym. Pocieszył się Poseidon, pojawiwszy Afrodite, pocieszył Helios udając się do Jutrzenki, Eos, do niebianek, ziemianek; i o Hestyi głucho byłoby na gwarnym od wieczystych skandalów Olimpie, głucho i u stóp Olimpu, gdzie też mało mówiono o ucziwych białogłowach, gdyby nie została orędowniczką domowego ogniska. W każdym greckim domu, od królewskiego pałacu, do szałas ubożego pastusza, zasiadła z taką godnością i powagą, że w jej obecności milkły sprzeczki i nieprzystojne żarty (Heziod „Prace i dni”), cofał się Ares mściwy, zachwiała Afrodite spuszczała oczy i Themida sama, z zawieszoną w ręku szalą stawała wyczekująca. Brzegu jej archaicznej szaty trzymały się anektów prawowite żony; u stóp jej złożonego niemowlęcia zaprzeć się już nie śmiała, dobrotliwa jej prawica rozciągała się nad niewolnikiem samym.

Hestia, z domowego Atryum przeniosła się niebawem na Prytanejon, siedlisko niezależności i autonomii grodu. Tu podejmowała najdostojniejszych gości, za stołem swym sadzała zasłużonych ojczyźnie mężów. Ztąd, z powierzonego jej straży ogniska, wychodźce brali zarzewie dla rozpalenia nowych, kolonizacyjnych ognisk. Głównie z Psytanejonu Sparta niosła przed wojskiem zamiast sztandaru, a gdy Med naszedł Grecyę, Hestia wielebne zasłoniła oblicze, ognie pogasły wzdłuż Jońskich wybrzeży... miałyż bo przyświecać narodowej kłęsee i wroga tryumfom?

Któż obdarzył Greków skarbem tak przez nich cenionym, strzeżonym? Wszędzie imię ogniodawcy było związane z podaniem o bohaterskim przodku. Niektóre ludy wierzyły, że iskrę z nieba na ziemię przyniosły jasno-skrzydłe ptaki. Australczykom przyniósł ją sokół, a Normandom strzyżyk mały. Panna Bosquet, w książce „La Normandie Merveilleuse“, ślicznie opowiada wyprawę tej malej, nad stan swój śmiałej i przedsiębiorczej ptaszyny. Osmoliwszy sobie w słońcu skrzydełka, strzyżyk musiał zebrać u wszej skrzydlatej braci, od każdego ptaka dostać piórko jedno, sam puszczyk odmówił, to też sknera siedzi sobie odtąd na pustkowi i złowrogo huka. Lecz nie zawsze skrzydlate, podniebne gońce zносиły na ziemię ogień. Częściej zdobywali go narodowi mityczni bohaterowie, zdobywali, dokazując cudów męstwa, niezliczone łożąc ofiary. W Meksyku, Teotl krzesał ogień, lud swój wywiódłszy z mrocznej, siedmiu jaskiń krainy. W Australii—zdobywca ognia aż się zalecać musiał do strze-

gącej skarbu więdźmy. Sagi opowiadają jak go wydzierać trzeba było smokom. Wedyjski Matarywan wydobył iskrę z wody, a meksykański Kuelza-koalt ofiarami bez liku opłacał się złym czarownikom raz wraz gaszącym zatłone przezeń zarzewie.

Nadprzyrodzeni bo właściciele ognia niechętnie udzielali ludziom tego, co ich w sile i mocy zrównać z nimi miało. Przez całą koncepcyę pierwotnych wierzeń czuje się nieprzerwaną nie zazdrości istot nadprzyrodzonych o osiągniętą przez człowieka doskonałość. Sama mądra i zbrojna Atene, traciła równowagę w zapasach ze skromną przadką: Arachne. Po dziś dzień, w mrocznej i zimnej sali florenckich Uffizzi stoją skamieniały z bólu Niobidzi, ofiary bezlitośnych strzał Heliosa i Artemidy. Theogoniś, dworak bogów, chwali im, że władzy swej strzegą—lecz bardziej niezależny Homer ośmiela się nazwać gdzieś Hadesa „najnienawistniejszym z bogów“. (Iliada p. IX.)

Po ogień z Grecyi wyruszył Tytan z rodu, syn Klimeny i Japetosa, wnuk Okeanosa i Tetydy: Prometeusz.

Niezależność kwitła w Japetionidów rodzie. Japetos syn Uranusa i Gei, to jest Nieba i Ziemi, strącony został z Kronosem do Tartaru, het! precz! poniżej Hadesu. Jeden z jego synów, Atlas „mędrzec, co morze zgłębił, jak mu przyświadcza Heziod, naraził się też Zeusowi, skazany przezeń na dźwiganie na hardym karku słupów, na których „wisi niebo z ziemią zawieszone“. (Odysea). Zadanie to spełniał z całą snąc świadomością ciężającą na nim odpowiedzialności. Dość nań spojrzeć w Neapo-

lu ¹⁾. Przyklął na jedno kolano, żyłastemi ramiony podtrzymując tłoczając mu kark sferę ziemską i niebieską: lądy, morza, zodiaku szlak szeroki.. Na twarzy brodaty, na przerzniętem głęboko bruzdą czole znać znój, wysiłek, ale i cierpliwość i rozważę mędrca. Wie on, że jedno drgnienie jego, ziemię i niebo z posad strącić może. O bracie Atlasa Menocejusza mało nas doszło szczegółów, lecz wiadomo, że dzielił los strąconych z nieba tytanów. Trzeci syn Japetosa, był to lekkoduch, niebaczny Epimoteusz, co się dał podejść Zeusowi, przyjmując z jego ręki oblubienicę posażną we wszystkie łyzy, jakimi płakać miała ludzkość, Pandorę. Czwartym i najstarożytniejszym był nasz bohater: Prometej. U Greków za boga nie uchodził.

Był nim kiedyś, daleko dawniej, czczony przez Pelazgów, Kabirów krewniak, miał świątynię w Beoeji, w pobliżu Teb, o której Pauzaniusz (w ks. IX, 25, 7), wspomina. Starodawny ten rodowód tłumaczy lekceważenie, z jakim traktował po wsze czasy „nowotnego” pana Olimpu, Zeusa. Już w Sycyonie, na wielkiej uczcie pojednania bogów, wyszły spory, które na razie Zeus, potrzebujący dla utrwalenia swych rządów mądrych rad przezornego Prometeja, przemilczał, urazę schowawszy w głąb mściwego serca, lecz gdy Tytan ręką sięgnął po iskrę, by

¹⁾ W Jeziorach (gub. i p. grodzieński) własności po 1868 rok dziada mego, hr. Walickiego, wśród puszczyzny po podstolim Walickim, była, pamiętam, piękna figurka z brązu, wyobrażająca Atlasa, w stojącej postawie z karkiem zgiętym pod wielką kulą ametystową.

ogniem, skarbem nad skarby obdarzyć umiłowane przez się ludzkie plemię, kazał okuć zuchwalca w kajdany, okutego powalić na szczyt Kaukazu, oddać żywcem na żer sępom.

Nasuwa się pytanie zkąd Prometej wziął iskrę: z piorunów Zeusa, u kół wozu Heliosa, w kuźni Hefajsta? Heziod pytania nie rozstrzyga, Eschylus zaś przez wprowadzenie do swego dramatu Hefajstosa, zdaje się porwanie iskry przenosić do kuźni na Lemnosie. Na misternie rzniętej kornalinie w Paryżu, *Cabinet de médailles* (N^o 1709) ¹⁾ ogniokradca zarzewie ściągą z ołtarza. Toż samo na drugiej dzemmie, tamże w Paryżu, tylko na tej drugiej, widocznie późniejszej, wzbija się po nad ołtarzem motyl, symbol uduchowienia. Bellori, na 2-ej tablicy przerysował ze starożytnej lampy naszego bohatera, jako męża z zarostem. Biegnie, zdala od siebie, jako rzecz straszną trzyma pochwycone dopiero co zarzewie. Jest jeszcze w *Cabinet des médailles* paryskim, pieniążek z wyobrażeniem przykutego do skały Prometeja. Czara stoi obok, na świętej kolumnie. Luwr posiada przepiękną czarę. Mamy tu

¹⁾ Dokładne obejrzenie nielicznych archeologicznych zabytków, odnoszących się do mytu o Prometeuszu, zawdzięczał kustoszom biblioteki narodowej w Paryżu pp. Bablon i Prou, oraz uprzejmemu p. Potier w Luwrze. W muzeum Campana (s. E. N^o 346), znajduje się doskonale przechowana patera, na której w mężu siedzącym z ptakiem na ramieniu, wielu upatruje Prometeusza. Pan Potier, zwracając uwagę moją na brak oków, domyśla się raczej Zeusa z nieoddzielonym orłem.

w profilu przykute go do skały tytana; przed nim stoi starzec w długiej królewskiej szacie, z brodą, podniesioną prawicą, zdaje się pocieszać czy uspakajać męczennika. W mężu tym zwykle upatrują Atlasa. Nie byłaby to raczej Okeanos? Do wniosku tego upoważniają szata królewska i wąż wijący się w górze, po za starcem. Scena ta odbywa się na szczycie doryckiej kolumny dla oznaczenia zapewne odosobnienia. Pauzaniusz, wodzem będąc w Mingrelii, zwiedzał starodawną Kolchidę i miejsce kaźni ogniokradey. Kaukaz, jak to wiemy, stanowił ówczesną geograficzną granicę, po za którą istniały same kraje bajeczne, z ogrodami Hesperyd, ojczyzny gryfonów i arysphantów jednookich. Miejsce to było tak odległe, w wyobrażeniu Greków, tak odosobnione, że wieść o przykutym do szczytu Kaukazu skazańcu przepadłaby, lecz argonauci, płynąc po złote runo, widzieli sępa krążącego po nad skalami i słyszeli jęki dostojnego wygnańca. Owcześni bohaterowie jęczeli i wyrzekali bardzo głośno; świadczy o tem chociażby Filokset ranny, opuszczony przez towarzyszy na pustynnym Lemnosie.

Krwawy dramat ogniodawcy, wiekowy zatarg z Zeusem skończył się tryumfem skazańca, stosownie do optymistycznej wyobraźni Greków, co nawet ulaskawionych tytanów w dniu wielkiego pojednania bogów i ludzi, wywodziła z Tartaru. Z więzów rozpętał Prometeja Herakles. Czyn ten wieńczy prace narodowego bohatera! Nadto Prometej otrzymał nieśmiertelność w darze od pewnego pobratymcy Obra, Chirona, najmędrszego, najspra-

wiedliwszego wśród centaurów, lecz tak rozczarowanego do wszech rzeczy, że umrzeć wolął.

Na podobnie subtelne rozwiązanie, nad wyraz naprężonej w kolizyi dogmatu z etyką sytuacji, mógł się chyba zdobyć gienjusz grecki. Roma nie odważyła by się naruszyć imperatorskiej supremacji Kapitolińskiego. Czy oswobodzenie ogniodawcy stało się z wiedzą Zeusa lub wbrew jego woli, o tem Grecy przemileżeli roztropnie, zadawałając się tem, że się stało zadość sprawiedliwości, by przez to „cześć była oddana urodzonemu w Tebach” (Heziod), Heraklesowi uosabiającemu w sobie ducha i gienjusz Grecyi.

Chwilę rozpętania Prometeusza ilustrują plastycznie: płaskorzeźba w willi Doria Pamfili, pod Rzymem, czara gliniana w muzeum w Berlinie, (№ 1,722), oraz tamże, przepiękny chociaż bardzo uszkodzony odłam metopii z Pergamu, (Sala E, l. L.) Prometeusz, z odbitą głową i prawą ręką, lewą podniósł, pozdrawia syna Alkmeny. „Celnemu łucznikowi”, czas nieubłagany obie odciał nogi, a u odwróconego widz podziwia plecy godne słynnego belwederskiego torsu (Rzym, Watykan), obleczone skórą lwa nemejskiego. Prześliczny jest ruch ramion, Herakles bowiem napina łuk, mierząc w sępa. U stóp Prometeusza leży mąż, w którym niektórzy upatrują uosobienie Kaukazu. Nie jest, że to raczej ów mądry uczeń Apolina i Artemidy, najlepszy z centaurów Pelionu, co tak mało cenił sobie nieśmiertelność lub tak umiłował pokrewnego sobie Prometeusza, że się jej odrzekł na jego korzyść? Wszak podanie niesie, że Chiron umarł od zatrutej

strzały tegoż samego Heraklesa, co był uczniem jego i druhem serdecznym.

Nie poprzestając na czei dla dobroczyńcy—ogniodawcy, współzuciem dla jego dostojnie znoszonych cierpień, niektórzy w późniejszym już czasie, zaczęli się w Prometeuszu domyślać twórcy ludzi. Pauzaniasz oglądał w Focydzie muł, z którego ich lepił.

Tam jednak Epicharmus wspomina coś o tem za czasów Eschylosa w utworze „Prometeusz i Pyrrha”. Dla Pindara i Hezioda, bliższych źródła, ludzie byli współcześni z bogami. Dopiero później Lucyan dowiedział się, że, lepiąc człowieka, Prometeusz mieszał glinę z wodą i przyzywał w pomoc Atenę. Później dopiero Menander wyszydzał w nim nieudolnego twórcę kobiety. Horacy wnikał szczegółowo w tajemnice pracowni, z której wyszedł człowiek:

*„Fertur Prometheus addere principi
Luno coactus particulam indeque,
Desectum et insani leones.
Vim stomacho apparuisse nostro”.*

Charakterystycznym rzymskim rysem jest ta srogość lwia wszczepiona w człowieka, rysem, nieodpowiednio pogodnej koncepcji Hellady, jak nieodpowiedniem jest pesymistyczne biadanie Propercyusza:

„O prima infelix fingente terra Prometheo!”
(Ks. III, e: 5). A Babios to już cały opowiada dramat:

„Był ci bogiem Prometej lecz nie z przednich jednym..
Ten wszystkich zwierzał pana, człowieka gdy z gliny
Był ulepił, do szyi brzemień sakwów biednym
Przywiązał napełnioną błędami wszelkimi”.

Czy ten, co ludzkość ukochał, aż do znoszenia za nią wiekowej męki, twory rąk własnych obarczyłby błędów sakwą? Działalby wówczas w myśl Zeusa i nie wystawiałby się na jego zemstę.

U nas, autor najpiękniejszej z książek o Grecyi („Ateny”), Wojciech Dzięduszycki, idąc, jeśli się nie mylę, za Proklastem, pisarzem bizantyńskim z naszej ery, przytacza podanie o Prometeuszu, twórcą Pandorę. Pieniądz, znajdujący się w Paryżu w *Cabinet des medailles* z wyobrażeniem Prometeusza z wykończoną w rękę ludzką postacią, bity za cesarza Maksyma w III wieku po Chrystusie. Wielka płaskorzeźba na sarkofagu, stojącym w sali Gołębi, na Kapitolu (№ 3), pochodzi z doby upadku sztuki, przejściowej, jak to zdradza brak jedności kompozycji; chaotyczność tak wielka, że się aż uciekać trzeba do wyjaśnień Tofanelli. Na wieku symbole chrześcijaństwa: kobieta uśpiona, zapewne snem nie przespanym aż do zmartwychwstań godziny, pęki maków, pies u boku, dalej pojące gołębia dziecię. Do koła trzech bocznych ścian sarkofagu: Kuźnie Hefajsta, Okeanos z trójząbem; dmący w róg Eol i kobieta z rogiem obfitości przedstawiają cztery elementy. Eros z Psyche dowodzą połączenia ducha z materią. Dalej przeznaczenie dłoń wyciąga po postać ludzką, którą wykańcza Prometeusz. Geniusze gaszą pochodnię nad leżącą na ziemi ludzką postacią, co naturalnie śmierć oznacza. Unosząca

się po nad tem wszystkim *biga*, ma być księżycą i zmartwychwstania godłem. Korowód zakończony Hermesem, wiodącym do piekieł cień kobiecy i bujającym nad niemi motylem, nieśmiertelności symbolem...

Źle już, gdy dzieło sztuki domaga się komentarzy. Prawdziwe przednie jej dzieła same za się mówią, porywają widza, lapidarnym rysem wrażają się w pamięć jak one sarkofagi z Latronu z historyą adonisa, Niobidów, Fedry, czy tam z muzeum w Neapolu, z Amazonek, Orfeuszem.

Prostsza od Kapitolińskiej, zwężlejsza i oilez misterniej wykonaną jest rzeźba na niewielkim cokule pod posągami Liwii Drucylli, czwartej żony Augusta, w jednej z sal watykańskich. I tu Prometej rzeźbi ludzką postać. Hefajst i Atene przypatrują się jego robocie. Lachezis wyciąga rękę, nie ku robocie Prometeusza, lecz ku wiedzionej przez Hermesa kobiecej postaci. Wygląda to na klasyczną scenę w pracowni rzeźbiarza, tembardziej, że w głębi są zredukowane do drobnych rozmiarów podobizny wołu i osła, że postać ludzka strugana przez Prometeja nie wielkich jest też rozmiarów. Wiemy też, że Prometej był patronem rzeźbiarzy. Wszak „Prometeistami” zwano w Atenach garncarzy, a ołtarz Prometeusza stał przy Ceramiku. W Neapolu jest przepyszna dzema, z wyobrażeniem Prometeja — rzeźbiarza, lepiącego nie dwuznacznie już postać ludzką, lecz popiersie. Jest nadto sarkofag, na którym, jak na płaskorzeźbie cokułu Liwii Drucylli, w Watykanie, w innym tylko nieco układzie, Atene i Hefajst przypatrują się z lubością

artystycznej pracy swego ulubieńca. Naturalną jest rzeczą, by ten, co dał Grekom ogień, włożył im w rękę dłuto, narzędzie do wytworzenia wiekopomnych areydział.

Archeologiczne zabytki dla wyjaśnienia mytu o Prometeuszu, nie liczne są i tem cenniejsze. — Uczniowie Fidyasza i Praxytelesa nie mogli męki jego na Kaukazie brać za przedmiot sztuki plastycznej. Grzech ten przeciw kardynalnym prawom rzeźby mieli dopiero popełnić — jak to wkrótce zobaczymy — współcześni nam: *I barbari*, jak słusznie nazwali by ich Grecy. Że zaś ci — Grecy — znali i pamiętali szlachetnego ogniodawcę w dobie jego młodości, przyjaźni z Atene i Hefajstem, ślubów z Oceanidami w kryształowych, opalowych Okeanosa świetlicach, posągi, któremi zdobyli Cerawik podobne być musiały do posągów Antinousa, skoro dziś jeszcze archeologowie spierają się o to: czy posąg, wznoszący się ongi w 9 rajonie Romy, w *Circus Flaminius* — tam, gdzie się najgęściej był osiedlił Rzym średniowieczny — a dziś stoi cichy pałac Masei i srebrnie brzęczy wdzięczna „Tartaruga” — przedstawiał Prometeja czy Apolina? Gdy Grecy chcieli uczcić Ogniodawcę, rzeźbili go w marmurze, podobnie do jedyne go posągu pozostałego w puściźnie po starożytnych, a tak szczelnie zamkniętego na Zatybrzu, że mało kto poznać go może ¹⁾. Młodzińczy, lewą stopą wparł się w co-

¹⁾ Zaznajomienie się z tem rzadkiem dziełem sztuki zawdzięczaam Pijusowi Welońskiemu, w czasie pobytu mego w Rzymie w 1894 r.

kuł, na którym rysuje się głowa ludzka. Miałoby to oznaczać, że tworzył ludzi? Dociekania te pozostawmy nauce. Nie doda to naszemu bohaterowi ani cala wzrostu, jak nie dodaje podanie, że on to uderzeniem młota wywiódł z czoła Gromowładnego z Otricoli, zbrojną Pallas-Atenę. Niech nam wystarczy tu, co wystarczyło Eschylosowi: „dał ludziom ogień”. Największa to jego zasługa, najdosłojniejszy tytuł do wdzięczności potomnych. Prometej zajmuje nas jako uosobienie jednej z najpotężniejszych, najgłębiej łono ludzkości nurtujących idei. Zresztą...

Zygmunt Krasiński, w jednym z listów do Henryka Reeve pisze:

„We wszechświecie całym istnieje jeden, jedyny przedmiot poetyczny..... człowiek działający w nieśmiertelnej indywidualności swojej, po przez przyrodę, z Bogiem lub przeciw Bogu”.

Taką ludzką, nieśmiertelną indywidualnością, konkretna wyobraźnia nawskroś przeindywidualizowanych Greków obdarzyła ogniokradcę działającego po przez przyrodę przeciw Zeusowi.

Abstrakcyja staje się dziełem sztuki wówczas, gdy w doskonałym plastycznym wcieleniu nabiera krwi i kości, zostaje indywidualnością. Tem to Eschylos obdarzył „Prometeusza w Okowach”.

III.

Było to w dobie najpyszniejszego rozkwitu Grecyi. Druga, podobna tej chwila nie powtórzyła się w dziejach ludzkości. Odrodzenie słabym jej było cieniem i echem, gdyż pomiędzy tamtą młodością, a tem usiłowaniem odmłodzenia wycieńczonego już społeczeństwa, zwały się stulecia, mnogie nad światem szalały burze, nowe rozpały się słońca, nowych uczuć spadły potopy, lat i doświadczeń zwały się brzemiona.

W V wieku przed Chrystusem, dużo już było lat ubiegło odkąd Deukalion, domniemany syn Prometeusza, zaludnił był półwysep Peloponeza. Zestarał się prawowierny Heziod, zestarzały krwią pisane prawa drakońskie. Przez pieśniarzy i mędrców chowani Grecy, nie tylko prześcigli własne swe bogi, lecz się wyzwolili z pod jedynowładztwa jarzma, otrzęśli z tyranów, pozakładali rzeczpospolite, a na politycznych swobód cokule właściwa im indywidualność wybijała w społecznym i artystycznym znaczeniu.

Nie przebrzmiały jeszcze echa pieśni Tyrteusza, a już nadbiegły Termopile, Maraton, Platee, Salamina. Ateny, perła Peloponezu! były sercem, głową, nerwem Atyki. U stóp Akropolu, a dalej w Delfach, Tebach, Efezie, nie wiadomo co większy budziło podziw: rzędy kolumn i portyków, rotty kamiennych i spiżowych bogów, czy męże i niewiasty, efeby i dziewice na wzór i podobieństwo których powstawały spiżowe i kamienne posągi, tak doskonałe, że zostały modłą niedoścignionej odtąd piękności, tak żywe i prawdziwe, że współcześni wiązać je chcieli, by im nie pouciekali. Na Cefizu brzegach roilo się od bohaterów, mędrców, mówców, pieśniarzy i snycerzy, jak przed wiekami, przed wieloma, zaroilo się było od bogów i cyklopów, podań i baśni. Grecy dopóty wymyślali modły, bóstwa, bohaterstwa, piękności, aż sami urosli w pół bogów, bohaterów, najpiękniejszych. Jawa dzienna zastąpiła pół sny jutrzanne. Wydatność skrawka gruntu, u stóp gór, pomiędzy mórz błękitem i nieba tonią lazurową, była tak przedziwna, że jak przedtem bogowie i tytany, teraz co krok wyrastali wieley ludzie. Uderzeniom młota Fidyasza wtórowała pieśń Eschylosa; Sokrates, Herodot, Arystofanes, Protagos myśl ludzką na nowe popychali tory, a Perykles ubiegał się o lepsze z Demostenesem. Ludzie ci, bez żadnego rzekłbyś wysiłku, gwoli naturze swej bujnej i twórczej, płodzili czyny i dzieła, budzące wszech wieków podziw.

Czy w chwili tej jedynej, wyjątkowej pamięć Ogniodawcy zatraconą była? Bynajmniej. Dawniej, bądź co bądź, zdetronizowanemu przez doryjskiego

Hefajstosa, Kabirowi, popularności ujmować nieco musiało zuchwale jego zachowanie się wobec Zeusa. Musiał się przed ostracyzmem Heziodowej doby schronić się do Beocyi, lecz i tam, na poły dzicy, jego wyznawcy, mieli mu niejedno do zarzucenia. Między innemi prześliczną sobie o nim, choć i nie bez żalu do niego, opowiadali historię. Gdy nieśmiertelnością miał obdarzyć ród człowieczy, ostrożnie omijał wroga sobie i ludziom Noc uspiołą. Tymczasem przedwczesny świegot ptactwa na zaraniu odudził królowę ciemności i ta stanęła w poprzek wielkiego zamiaru. Tej Nocy niepodobna sobie przedstawić inaczej, jak z rysami tej drugiej, kamiennej, z kaplicy Medycyuszów we Florencyi.

Wiemy już, że zdetronizowany Kabir świątyni nie miał. Wznosi je zwykle Lęk lub Nadzieja. Któżby się bał dobrego a pokonanego i czegoż już można było się spodziewać od tego, co złożył już dar nad dary. Nie dziw więc, że mu się Lucyan każe uskarżać na brak świątyni, a Menander, z właściwą sobie ironią mówi, że dymny kaganek winien wystarczać temu, którego bogowie nienawidzą. Prometejady, chociaż wliczone w poczet świąt, nie były obchodzone równie świetnie, jak inne igrzyska. (*L. Beg de Fougière: Les jeux des anciens*), Arystofanes uskarża się, że mało kto potrafi nieść pochodnię w biegu, a uczony niemiecki Welcker, (*Die Aes. pr. und die kabirenweihe zu Lemnos*), utrzymuje, że z okazji wznowienia Prometejad w Atenach, Eschylos skomponował i wystawił trylogię, której jedna część zaledwie nas doszła.

Prometej nie miał świątyni, lecz miał posąg

w ogrodach akademii, lecz miał ołtarz przy Ceramiku, tuż u wstępu do gaju Eumenid, tam właśnie, gdzie siadywał Eschylos, w poetycznej pogrążony wizyi, tak nią upojony, jak Jonasz pod winną latoroślą w Sykstyńskiej kaplicy. „Ołtarz przedniejszy od fortecznych murów!” woła Denaid, nieśmiertelny piewca i na ołtarze Ogniodawcy składa najprzedniejszą z ofiar: ofiarę swego genjuszu.

W Grecyi igrzyska tyle i więcej od hetakomb warte były, a od igrzysk rzymskich różniły się bardzo. Nie za pretekst mając bogów, lecz za przedmiot i cel, nie rozbiewiały rozpróżnionych mas, lecz umoralniały naród, nie zaprawiały do dzikości różnojęzycznego motłochu, lecz otwierały jednoplemien- nym obywatelom pole do ubiegania się o palmę zwycięstwa na polu zręczności, piękna, wymowy, sztuki, poezyi. Nie uczestniczyli w nich wyrzutki społeczeństwa, złoczyńcy i histryoni lub prześladowani inowiercy, gladiatorowie nie byli ich bohaterami. W greckich igrzyskach występowali eupatrycy, przednia młodź ateńska uważała za zaszczyt brać w nich udział, a uczestnicy zamiast rzymskiego złota i rzymskiej wzgardy otrzymywali dzban źródlanej wody, wieńce i posągi i prawo do pierwszych placówek na placu boju, łżenia życia za ojczyznę.

Wspaniałość też greckich igrzysk, z ich podwójnym: religijnym i patryotycznym charakterem odmienną była od wspaniałości rzymskiej areny, odmienne tu były ramy, widzowie, treść i forma igrzysk. W Rzymie cesarowie wyprawiali igrzyska krwawe dla motłochu, schlebając jego najniższym

instynktom, by się na nim bezpieczniej oprzeć. W Grecyi otwarta arena zostawała szkołą, w której wszyscy obywatele byli na przemian nauczycielami i uczniami, widzami i aktorami. Stadyon był w Atenach przy Ceramiku a rozrzucone po muzeach całej Europy, potrzaskane a jakie jednak przedziwnie jeszcze piękne płaskorzeźby, odłamy metopii dawnych świątyń, uczą nas czem były Panateje. Po pochyłościach na złoto słońcem wyzlóconej skały, nad mórz Egejskich lazuruwatonią, wśród szarych, lekkich jak drżące pióropusze, gałązek oliwków, wśród rzędów wysmukłych czarnych cyprysów, wśród pieśni rozwiewnych, lśniących jak metal liści magnolii, cytryn, pomarańcz, myrtów i bukszpanów, przy upajającej woni południowego kwiecia, wspina się ku Akropolii pochód, jakiemu równego słońce nie widziało. Bywały barwniejsze, bogatsze, bywały i bardziej tłumne, skłębione, różnorodne; o tak szlachetnych, doskonałych liniach nie widziano nigdy, nigdzie. Szli kapłani i wróżbici w białych szatach, starce w wieńcach polnych maków, teorye młodzieńców o rytmicznym kroku Korybantów, szeregi dziewic, niosących zwoje owoców i kwiecia, amfory, ampulki. Szły matrony w purpurowych diploidonach i niewolnic liczne rzesze. Szły trzody mlecznych, kwieciami opasanych jelowic i rydwany złocone, dwukołe, kształtne, podobne do onej pysznej, w Watykanie, marmurowej *biga* a na rydwanach stali, cugle rumaków w ręku trzymając, żywi: Adonisy, Hermesy, Narcyzy, anakrótów synowie i nadzieje i o ich ramiona wsparte kochanki i ich przyjaciółki, piękne i często mądre he-

tery, co na wzór służyły rzeźbiarzom Afrodyt lubieżnych i czystych družek Artemidy.

Słońce zaszło, a na pogłębione niebioskłonów lazury zeszła Artemiz bladolica. Śród oliwków drżących, przy ołtarzu, na którym stał posąg Erosa, podobny może do lubego figlarza, co dziś jeszcze na Kapitolu przyświeca sobie i widzom dawno zgasłą latarką, zgromadziła się młodź z dopiero co zapalonemi u ołtarza Prometeusza pochodniami. Nadzy na ciemnym tle nocy i ogrodów akademii, do marmurowych bogów, którym nie jeden za wzór służył, podobni, zerwali się do biegu, z wzniesioną nad głową ręką i pochodnią, tak, jak się zrywa Prometej w zbiorach Torlonja. Biegną, pędzą, lecą. Ponad ich głowami skrzą się iskier warkocze, za nimi dymów zawoje. Artemiz ściele im pod stopy srebrnych szlaków wstęgi; rozstępują się wzdłuż stadjonu tłoczące się tłumy; na rydwanach wspinają się, wodze rumakom popuszczając, anaktów synowie, przyspieszony oddech rozchyła wargi w pościg wpatrzonych kochanek ich i przyjaciółek: kto zwycięży, kto stanie u mety z płonącym kagańcem, wychyli dzban czystej, źródlanej wody.

Jeszcze za Sokratesa wyścig z pochodniami odbywał się pieszo. Potem młodzieńcy dosiadali koni, a że dosiadali oklep i nadzy, do żywych podobni czyli centaurów. Kobiety w gonitwach udziału nie brały, chociaż w olimpijskim stadionie kapłanka zasiadała obok hekanadysty (Pauzaniasz) i ściagały się dziewczęta w krótkich chitonach, z obnażeniem prawem ramieniem i rozpuszczonym włosom.

Dzień lampadoforyi był dniem weselnym. Po

wieczornym wyścigu rozstawiano stoły w domach bogaczy, a podmiejskie gaje i winnice rozbrzmiewały śpiewem, muzyką, płasami a i zaklęć miłosnych i pocałunków szmerem. Wiemy jednak z poważnych źródeł, że nawet dziewice najzacniejszych domów brały udział w uciechach nieprzekraczających dozwolonej swobody. Przepiękne ramy, w które Grecya wtłaczała kult religijny, życie publiczne i prywatne, uczty, igrzyska oddziaływały dodatnio na smak, wyobraźnię, zmysłowość samą zamykając w granicach zdrowej przyrody i pięknej równowagi, uszlachetniając poezji podmuchem.

Zresztą, nawet takie jak wielkich Panathei korowody, tańce pyrejskie młodzie, wyścig z przerzucanemi z rąk do rąk pochodniami, nie wypełniały dla Greka uciech czary. Lud domagał się mówców, pieśniarzy, mędrców, artystów. Te to ścisłe zaślubiny pięknej formy z pełną i piękną treścią, materii z ożywiającym ją duchem, stanowią przednią właściwość geniusza greckiego. Zakończeniem świąt i igrzysk był teatr, szkoła enót obywatelskich i patryotyzmu, arena na której uczony przedstawiał swój wynalazek, filozof system, rzeźbiarz posąg, obraz malarz; poeta śpiewał swój poemat, a naród cały wypowiadał samą najgłębszą treść swoją.

Dionyzos i koturny, gdyby wszystko co było greckiem do szczytu zginęło a pozostał ślad koturnów i Dionizosa, potomni mogliby z resztek tych dawną Grecyę wskrzesić. Dionyzos, w ogniu poczęty syn Zeusa i pięknej Sellene, smętnej Armidy kochanek, piekielnych wrzecieży odporca, pątnik nawiedzony życiodajnym szalem, co nawet pantery

dzikie i lamparty lute do jego wprzęgl rydwanu, czarodziej co na samego Cerberusa rzucił urok potężny (Horacy o XIX ad Baecum) nigdzie może nie jest zrozumialszy i dostępniejszy dla nowożytnych naszych zrozumień, jak na płótnie Lionarda, w Luwrze, w Paryżu, przedstawiony w postaci śniącego na jawie pacholęcia, z płomieniem w oku i zastygłym, zagadkowym, właściwym tworów Lionarda, uśmiechem na ustach. Na tle pustynnego krajobrazu nadziemskie pacholę ma coś dziwnie wspólnego ze św. Janem Chrzcicielem, ze zwiastunami, przez które objawienie ma przemówić.

Nowej bo doby zwiastunem był dla Grecji Dijonizos. Święto jego zostało odrodzeń świętem i zrazu brały w niem udział ene anektów żony, siostry, córki. Później dopiero, na jakie półtorasta lat przed Chrystusem, to jest na skłonie starożytnego świata, w Rzymie, gdzie dach starożytny konał, sprośne tchnienie haniebnej pamięci Anni Pakuli, dijonyzycie greckie zmieniło w rzymskie bakchanalie.

Koturny! Grek w koturnach się urodził. Nieprzeprzparte miał dążenie wcielenia w konkretne, pochwytnie kształty wszelakie myśli, uczucia, oderwania; naturalny popęd, myśl, uczucie, słowo ilustrować odpowiednim czynem i ruchem. Demostenes, pytany jaka jest przednia zaleta mówcy? odrzekł: „ruchy”. I jaka jeszcze? „Ruchy, zawsze ruchy”. To też słusznie Aug. Wilh. Schlegel, w klasycznych wykładach „o sztuce dramatycznej”, naznacza eposowi w poezji miejsce odpowiednie temu, jakie w snycerstwie zajmuje płaskorzeźba, a dramatowi to, jakie w snycerstwie zajmuje posąg. Naod-

wrót płaskorzeźby na sarkofagach nazwać możemy epopejami, czasem poematami, a konający Gal (Kapitol), zraniona Amazonka (Watykan) zadumany Medyceusz (Florenca) są skończonymi dramatami. — Gdzieindziej, Platon („de Rep. X”) mianuje Homera Sofoklesem epopei. Istotnie dramat wyszedł z Iljady i Odysei, a plastyka greckiej pieśni została matką greckiego snycerstwa: dość odziać akcyę i ruch wewnętrzny greckiego eposu w plastykę bogatej, i łatwiej, południowcom wrodzonej gestykulacyi i mimiki, w wyż wspomniane „ruchy” Demostenesa by mieć gotowy teatr.

Zbytecznem gubić się w dociekaniach nad zaczątkami greckiego teatru, szukać jego genezy po za granicami Grecji, gdy i bez obcych naleciałości i niezależnie od nich, Grecya, gwoli skłonnościom swym i właściwościom mogła i musiała wysnuć z własnego swego wątku sztukę dramatyczną.

Jej zaczątek Herodot (ks. V w. 67) wywodzi z igrzysk mytycznych w Sycjonie, gdzie powstał zaścianek Prometeusza z Zeusem i kędy była kolebka snycerstwa i malarstwa Lizipa i Apelesa. Mniejsza ztem, czy mytyczny Arion, czy jakiś odległy z krwi i kości tuziemiec, zawiódł dokoła ołtarza Dionyzosa, pierwszego dytyramba, pierwszy taneczny korowód. Niech się heleniści spierają o to, czy dramat odrazu, czy też z czasem, rozpadł się na: liryczny i dramatyczny, nam tu wystarczy, że zawięzią sceny był ołtarz Dijonizosa: *themele*, a zawięzią dramatu obrzęd religijny.

W 540 r. przed Chrystusem Thespis z Ikaryi wplótł akcyę w dytyramb, a przywdziałwszy maskę

i rozbiwszy się o ostracyzm Solona, począł rozwozić dramat po Peloponezie, na wozie wygnańca.

Na podobnej, dorywczej, z desek wędrownego wozu, skleconej wśród gór Tessalii zatrzymującej się scenie możemy sobie łatwo wyobrazić farsę, dzisiejszą włoską bufoneryę, dawne greckie Atellanae, ale jakże trudno wyobrazić sobie przy podobnej sceneryi „Aleestę“, „Kapłanów“. Jednak ubóstwo i niedostateczność wystawy nie odstraszały ówczesnych, echiwych podniosłych wrażeń widzów i słuchaczy; przygody narodowych bogów i bohaterów stanowiły źródło niewyczerpanego interesu, odpowiadając nie tylko religijemu i patryotycznemu nastrojowi doby, lecz wrodzonej Grekom potrzebie akcji i wiązania jej w akord: linii, barw, dźwięków, słowa, myśli, uczuć. Gdy nowatorzy odważyli się wyłowić z mgieł mytu i wywieść na scenę imiona i wypadki historyczne lub i aktualne, wybierali fakty i typy, schlebające dumie i narodowym uczuciom widzów. Liczył się zapewne z tem Trychidor za ledwie znany nam z imienia i rozgłosu swej urody, liczył się i Eschylos tworząc „Persów“.

Przyznać wypada, że ustawiczne przypominanie narodom najpiękniejszych chwil ich życia, odsłanianie najwspanialszych kart ich dziejów, dodanie na nie działu od chłosty satyry, znamionującej doby rozkładu i upadku. Żle, gdy się śmiejemy z tego, co boleć powinno i gdy, straciwszy wiarę w swe ideały, własnej urągamy niemocy. Doskonale to rozumieli Grecy, lubujący się w złocie i purpurze swych dziejów. „Persów“ wydała doba najpiękniejszego rozkwitu Grecyi, a już Arystofanes z ca-

łym swym geniuszem, jest zwiastunem bliskiego upadku.

Eschylos, zwany ojcem greckiej tragedyi, urodził się w 525 r. przed Chrystusem, w przeddzień wojen Medycznych. Udziałem jego było opiewać chwałę swego narodu, a widzowie tak się tłumnie tłoczyli dookoła pierwotnej, drewnianej sceny, na której wystawiał swe pierwsze dzieła, że runęła pod natłokiem w 500 r. przed Chrystusem. Na jej miejsce wzniesiono w Atenach, kamienną, stałą, której rozmiary wymagały koturnów i narzuciły maskę, przyczem ograniczenie chóru i wprowadzenie na scenę drugiego aktora zostało zaczątkiem właściwej sceneryi.

O ateńskim teatrze najlżejszego wyobrażenia nie dają najwspanialsze nowożytnie teatry. Nawet rzymskie Koloseum zamknięte w kotlinie pomiędzy Palatynem, Esquilinem i Celjusem, nie daje miary teatru w Atenach i dopiero to, co zostało z teatru w Pompei zarysowuje nam ogólny plan i rozkład teatru greckiego. W Atenach zawisł on był na skłonach Akropolii, półkolistymi, w żywej skale rznietymi, stopniami. Nad nim niebo rozpinęło turkusowe sklepienie, wieńczyły go Akropolii świątynie, pod nim Propyleje, Agora, Pnyks, ogrody i winnice, Ceramik, Cefiza wązka szczelina, a dalej las masztów i żagli na zwierciadlanej toni, archipelagu skaliste to zielone kępy i het! precz! horyzonty tak jasne i szerokie, jak jasnym i szerokim był geniusz grecki.

Przybytek godny Dijonizosa! Świątynia, ale nie sklepiona w ciasną *coele*, jak innych bóstw za

ciasne zwykle w Grecyi mieszkania, otwarta na wszystkie blaski nieba i ziemi, na wszystkie powie-
wy, na tłumy powódź, a tak dostojna, że tu, a nie
gdzieindziej, po Maratonie, rozdawano broń pole-
głych bohaterów, szczęśliwym tej najdostojniejszej
ze spuścizn spadkobiercom. O takim teatrze Arysto-
fanes śmiało mógł mówić, że jest „szkołą patryo-
tyzmu“.

Na środku proscenium *thymele*, ołtarz, a na
nim Dijonyzoz z kości słoniowej cały! W głębi głó-
wa Gorgony patrzy z pośród złotych węży splo-
tów. Nad portykiem, w trójkącie przyczółka Sko-
pas z Peryklesem rozstawili Niobidów, z ich matką,
pedagogiem, tych co dziś rozpierzeł, stoją w Uffizzi
we Florencyi. Występujący na tej niezrównanej sce-
nie aktor, to nie obrzucony złotem i wzgardą his-
trjon, to nauczyciel ludu, śpiewak narodowy, ka-
plan Dyjonyzosa, wódz, książę: „*Tragei cotharm
principe*“, jak Pliniusz zwie Sofoklesa.

A widzowie! W Atenach żaden śpiewak nie śpie-
wał w głuszy; żaden ton nie ginął marnie, żaden sztuk-
mistrz nie występował przed ciżbą obojętnych, ani
przed mniejszością przesyconych, ani przed kląką
krytyki, ani przed, zawiązującym się zwykle wśród
mierności, arcybraetwem wzajemnego uwielbienia.
Widz i słuchacz doskonale był przygotowany do
zrozumienia i ocenienia każdego dzieła sztuki. Jego
wymagania były wielkie, jak wielką była skala
greckiej sztuki, ale ujęte w ramy doskonałego ro-
zumienia rzeczy i pewnych, estetycznych stałych,
podstawę też stałą wytwarzających dla sztuki, pra-
widół, tego, co dziś z lekceważeniem, a najczęściej

nieświadomością, klasycyzmem zowiemy. Aktor
w Atenach był zarazem twórcą dzieła — przynaj-
mniej najczęściej. Oparty o *thymele*, ołtarz; u stóp
„dawcy świętego szalu“ Dejonyzosa, wcielał wymy-
ślonych przez się bogów i bohaterów, to jest naj-
lepszych pierwiastków narodowego ducha.

Eschylos, syn kapłana w Eleuzis, węższenie
wtajemniczonym był w kult Persefony i dobrej De-
metre. Na genezę jego twórczości nie mały wpływ
wywrzeć musiały sceny i obrazy, które w Eleuzis
widywał: roztwierające się w noc ciemną podwoje
świątyni, przerzucane z rąk do rąk gorejące pocho-
dnie, emblemat udzielającej się iskry życia, gaszo-
ne w atrjum ognie, oznaka śmierci, zasłony opa-
dające z posagu Demetre, odrodzenia symbol. Wszak
zarzucano Eschylosowi, że naruszył eleuzyjskie ta-
jemnice. Marzycielowi, ba! wizjonerowi, usypiające-
mu nieraz pod winną latoroślą, śnił się, czy też
objawiał się Dejonyzoz, powołując go na służbę swe-
go i arcykapłana przy *thymele*, ołtarzu, w teatrze.
Za głosem tym poszedł Eschylos, a jeśli, jak to
niesie podanie, tworzył w upojeniu, to w takim
jak to, co prorokować uczyło Jonasza, współcześni
mu też w Eschylosie uznawali pomazańca bogów,
w wypadkowej jego śmierci dopatrując się rzeczy
nadprzyrodzonych.

Rozpojony twórczem natchnieniem, Eschylos
nie oderwał się jednak od rodzimej ziemi. Żołnierz
pod Maratonem, Salaminą, Plateami, wszędzie, gdzie
zagrożona ojczyzna potrzebowała obrony dzielnego
ramienia, w chwilach wolnych od publicznej służ-
by, chwycił lutnię, raz wraz zwycięża u *thymele*,

raz wraz wieńczony i przez ziomków swych oklaskiwany, dopóki w zapasach z młodszym i pogodniejszym, potrzebom danej chwili bardziej odpowiednim, a co zatem idzie szczęśliwszym współzawodnikiem, zwyciężony, pokonany, nie został dobrowolnym na starość wygnańcem.

Tragiczniejszej i piękniejszej zarazem chwili jak ta, w której u ołtarza Dyjonyzosa, wobec wszech Aten zmierzyli się: Eschylos z Sofoklesem, nie zapisała historia sztuki. Plutarch opowiada, że się to działo w pierwszym roku osiemdziesiątej ósmej olimpiady, to jest na 468 lat przed Chrystusem. Perykles siłą ducha, nie przemocy, dzierżył w Atenach pierwotność, Fidjusz tworzył Pallas, co stanąć miała na Akropolii, a wśród rzędów kolumn, portyków i bogów roilo się w Atenach od bohaterów, pieśniarzy, artystów. Nawet wśród kobiet—tej jakoby najsłabszej strony starożytnego świata—były Aspazye, to jest towarzyszeki godne pierwszego bohatera wieku, a po nad to czegoż kobieta więcej zapragnąć może.

W gimnazyach Hermesa ćwiczyli się efeby, na Pireusie wrzało od jasnowłosych Pelazgów, przekupnie, a wyżej, pod srebrnych oliwek osiną, przesunęły się ateńskie, w białych szatach dziewice, co w świątyni Ateny Polias, obok grotty tajemniczego Erychtoniusza, dzierzgały złotem i bisiorem peplum bogini na wielkie psytaneje. Dnia tego na ruchliwe Ateny spadła niezwykła tam cisza. Wszyscy obywatele byli w teatrze i patrzyli na morze płowe i na dalekie słońcem zalane horyzonty i czekali ciekawie aż wahający się przed niezwykłą trudnością i nie-

codzienną odpowiedzialnością Archont przeważyszale, zawisłą pomiędzy ścigającymi się w dejonizysowym turnieju: stokroć już zasłużonym i oklaskiwanym Eschylosem, nieśmiertelnym „Persów” nieśmiertelnym twórcą, a młodzieńcem, co niedawno, pod Salaminą, śpiewał hymn zwycięstw, tańcząc dokoła wojennej zdobyczy. Któryż zwycięży?

Wahał się Archont. Sam wiekowy cofał się może mimowoli przed nową falą zalewem. A może, nieprzewartym porwany prądem zwracał się mimowoli ku jutrzeńkom nowym... dość, że się wahał Archont sędziwy, gdy do teatru dla złożenia na *thymele* dziekczynnych libacyi, wtargnął z poczem walecznych żołnierzy wódz sławny i zwycięzki, Cymon. Niechże on sędzi, niech szalę przeważy.

Hojny, waleczny, pogodny Cymon, żołnierzem był, lecz w Grecyi, jak to wiemy, krytyka i rozdawanie wieńców nie było przywilejem samych augurów. Zaimprovizowany sędzia najwspanialszego, jaki się kiedybądź odbył, konkursu, przechylił szalę na stronę młodego Sofoklesa. Lud przyklaskał jak przedtem przyklaskał Eschylosowi: *Evoé! Evoé!* Jak Dijonyzosi piękni, waleczni Sofokles był też godnym tego wieńca, co się boskiemu Pindarowi zdawało podobnym do „blasku na niebie”.

Czy sam geniusz Sofoklesa zwyciężył w tym dniu pamiętnym? Podobna kwestya otwiera zawsze, z samej swej natury, pole wątpliwości. Może istotnie twórczość Eschylosa, jak każda twórczość, kłoniła się ku zachodom lub zamroczyła chwilowo. Może istotnie Sofokles potrafił o nowo napięte w ludzkości struny, gdyż strój sere ludzkich zmienia się

z doby na dobę i dzień każdy dobiera sobie odpowiednie kamertony. Może też ludzie dość mieli empiryjskiej grozy, tytanów, atrytów, eumenid. Eschylos rysuje się jako olbrzym nawet na tle peryklesowej epoki. Ale, że miał wrogów i przeciwników, to też wiemy i wiemy, że 490 roku przed Chrystusem w czasie zenitu swej twórczości, ustępował miejsce prototypowi literackich tandeciarzy: Simodenisowi, a i to wiemy, że oskarżonego o naruszanie eleuzyjskich tajemnic nie „Persowie” bronili, lecz wojenne zasługi i bliźni jego braci. Kto zliczy zresztą wrogów, co nabawiła go Prometejada: rękawica rzuciona poziomej prawomyślności tłumów. Zbyt być śmiałym i podniosłym, zawsze i wszędzie niebezpiecznie, a arystokratyczny Eschylos wielu wrogów, liczył w rozwielniającym się już wówczas demokratycznym stronnictwie.

Pobity przez młodszego współzawodnika, sławę swą i dzieła przekazał potomności. Ostatnia to i najwyższa instancja. Ze szczytów oddalenia, z których sądzi, widzi dość miejsca, by stawiać w jednej miary rządzie nie tylko dwóch, lecz i wielu więcej arcy mistrzów. Dwie wielkości nie tylko nie wyłączają się, lecz częstokroć dopełniają wzajemnie. Wie o tem potomność, lecz co po tem Eschylosowi? Co mu z tego, że go Arystofanes, może na złość tylko Eupridesowi, wyniesie pod niebiosa? Co mu z tego, że po dziesiątkach stuleci, gdy z arcydzieł jego pozostały same przez czas niedogryzione strzępy, a sam język, którym pisał, znikł z żyjących ludów mowy, zwany będzie: największym z tragiczków, a sława jego prześcignie Olimpu szczy-

ty? Co mu z tego! Nie byłże on tak, jak Pindar „słynnym muz kapłanem”, i nie należałoż mu się tak, jak Pindarowi zasiadać za życia w świątyni? Nie byłże on Grekiem co wiedział, „że nikt fortuny nie weźmie z sobą do umarłych krainy” (Persowie)? Żał mu było, jak i Safonie, „niezerwanego życia kwiecia”. I on jak Heziod i inni, doczesnej łaknął nagrody, jak Achilles bał się cieni Hadesu i gdy mu się powodzenie wymykało, zgorzkniały, szedł do Eumenid gaju i, wspierając się o ołtarz Prometeja, którego skuteczniej wskrzesił, niż wskrzeszone święto ogniodawcy, na którym wystawił swą „Prometejadę”, rozmyślał o sębach nudy, tęsknoty, samotnienia, co żywe wygnaniem rozrywają łona.

Czy twórczość Eschylosa, szła boski! bezwiedną była, jak to utrzymuje Sofokles, sam świadom celów sztuki i pan w dobieraniu celom tym odpowiednich środków? Istotnie, Eschylos nie poddaje się określonym prawidłom, sztukę traktuje jako religijne i narodowe posłannictwo, nałożone na się przez Dijonizosa kapłaństwo. Zresztą, w całości, z której to tylko wnioskować możemy o zaletach kompozycji, posiadamy samą „Oresteję”, co odpowiada najzupełniej istocie tragedii, w określeniu Arystotelesa (Poet. VI) Plan „Prometejady”, której posiadamy jedną część tylko, że tak rzec można. Akt drugi, środkowy, jest najściślejszem przeprowadzeniem: tezy, antytezy i syntezy.

Pierwszą część tryologii, zatytułowaną „Porforos”, czyli ogniobiorca, znamy zaledwie ze wzmianek rzymskich pisarzy, jak: Aulus Gelus („Alic: noct. XIII, 18, 4) i Ciceron (Ture, II, 10). August

Wilh. Szlegel zalicza ją do zwykłych w triologiach, wstępów. Miejsce działania, kuźnie Hefajsta na Lemnosie.

Inni, w pierwszej tej części dopatrują postawienia tezy, pochwycenie ognia przez Prometeja, jak o tem mówi sam tytuł „Porforos“, jego zaślubiny z Azyą, do czego się odwołuje chór Oceanid, z drugiej znanej nam części triologii Eschylosa, a Welcker, któremu zaufać możemy bez zastrzeżeń, dowodzi, że niezależnie od triologii istniała sztuka pod tytułem: „Prometej rozniecający ogień“, pełna komicznych aluzji do sposobów obchodzenia się z wszelakim płomieniem, z wystawionym porządkiem wyścigu z pochodnią, i że tę to sztukę Schlegel zmieszał z pierwszą częścią triologii Eschylosa.

Z trzeciej części zatytułowanej: *Lumeos* ocalały fragmenty w przekładzie a może i w przeróbce rzymskiego pisarza Aciusa (r. 170 n.e). Do przykutego do skały Prometeusza zbiegł się poczet dopiero co z Hadesu wypuszczonych tytanów. Wybiła tedy wielka pojednań godzina! Chór pod przewodnictwem Kronosa opiewa podróż i przygody wyzwolonych. W Olimpie był jakoby obraz, przedstawiający tę chwilę i na ogół było w Grecyi obrazów wiele, mających za treść myth prometejowy (Menander Fragm. inc. VI, 3).

Na wiec tytanów zbiega też Herakles, równy im w sile, chociaż nie ślepych sił przyrody lecz mocy ducha ludzkiego przedstawiciel. Opowieść jego czynów i wędrówek, jest tem w trzeciej tej części, czem opowieść Iiony w części drugiej, epizo-

dem, lecz z duchem i planem dzieła ściśle związanym epizodem. Cierpieniem krewniaka wzruszony, do czynu zawsze skory, ten, co strzały puszczał bogdaj w czoło Heliosa, łuk wiekopomny napina przeciw nadlatującemu, by szarpać swą ofiarę, sępowi.

Największy bogdaj z wielkich czynów Heraklesa! Praca jaką się najbardziej ludzkości zasłużył! Syn Semele może już spocząć na wieki, wsparty na swej maczudze, nad błękitami mórz, oblewających stopy dawnej Parthenopy (Neapol). Czyn w Heraklesowym stylu i mnożący chwałę „urodzonego w Tebach“, jak to chciał Heziod, lecz rozwiązujący po części tylko sytuację. Prometejowi należało się coś więcej po nad przykrócenie katuszy. Należała się nagroda, to jest nieśmiertelność. Wiemy, że mu swoją oddał najmędrszy i najlepszy z Centaurów Chiron, czy wspaniałomyślny, czy rozczarowany nad miarę... w tem tkwi — niewyzyskana dotąd — jedna z najgłębszych tragedyi starożytnego ducha.

Lecz Zeus w zapaleczywości swej poprzysiągł był nie zwolnić z więzów wroga, aż go skruszy. Skruszonym nie widzimy Prometeja nigdy i nigdzie. Dla uratowania sytuacji giętki geniusz Grecyi, a za nim Eschylos, każą mu dobrowolnie nałożyć na siebie pęta z wiotkich gałązek oliwków i pierścien, w którym ułamek skały, do której był przykuty, zastępuje miejsce krwawnika z szlacheckim klejnotem... cierpienie niesłusznie zadane a mężnie zniesione, jest dostojestwem zawsze, a zmienia się w cenny dobytek w tryumfu godzinie; wiotkie, dobrowolnie na się przyjęte więzy są temi, w które społeczeństwo każde, roz-

kute z oków przemocy, okiełznać musi wybujałość swobody.

Prometejada wystawioną była w czwartym roku siedemdziesiątej szóstej Olimpiady, czyli w 473 roku przed Chrystusem, na pięć lat przed słynnymi zapasami Eschylosa z Sofoklesem. Eschylos liczył wówczas 52 lata.

Pan Kazimierz Kaszewski (Wstęp do przepysznego przekładu Eschylosa) dopatruje w końcowej scenie „Prometeusza w okowach“, to jest drugiej części triologii, która nas doszła w całości i nad którą tu się najdłużej zatrzymać nam wypada, wrażenia, jakie wywarł, na bawiącym wówczas w Syrakuzie Eschylosie, wybuch Etny. Patin „(Etudes sur les tragiques grecs)“ wnosi, że opis kataklizmu był dodany z okazji odbudowania Katany. Jedno nie wyklucza drugiego.

Eschylos był, jak to wiemy, nawskroś religijnym. Twórca geniusz porwał go i uniósł dalej — przynajmniej w części drugiej — niż na to pozwolić mogła ścisła ortodoksja i chyba część trzecia, syntetyczna, łagodziła gwałtowność antytezy części drugiej. Bądź co bądź całość zgodną jest z rdzenną filozofią grecką, która się ortodoksją bynajmniej nie krępowała. Przedmiotem jej tryumf światła. Cel osiągnięty został. Pomimo to triologia Eschylosa zadrasnąć musiała uczucia nie jednego widza i przyczynić się do jego porażki w pięć lat potem. Dotykać bogów zawsze niebezpiecznie. Pobożny, korny Eschylos nie mógł podkopywać świadomości władzy Zeusa. Wyplęnięto to z samej logiki przedmiotu, traktowanego genialnie, to jest wiernie, wszech-

stronnie, doskonale. Wyplęnięto z jądra filozofii greckiej gdzie prawda, sprawiedliwość, zależność następstw od przyczyn, składały się na wytworzenie onej tajemniczej Dike, wobec której Zeus gromowładny nie więcej ważył od pacholęcia, pasącego kozy na skałach Olimpu. Uczeń helleniści utrzymują, że Eschylos zamierzał przedstawić walkę dwóch porządków: starego z nowym, Kabira, boga autochtonów, Pelazgów, z nowymi, helleńskimi bogi, i mówi, że się właśnie w Elleuzis, kult Kabirów przechował był pod osłoną kultu Demetre, a w Tessalii była poświęcona Prometeuszowi świątynia. Być może, że Eschylos miał to na myśli lecz doskonałość jego utworu prześcigła walki Kabirów i Pelazgów a geniusz sprawę lokalną wydmuchał do rozmiarów ogólnie ludzkiej, niepożytej tezy.

W szczytowej doszłej do nas puściźnie po Eschylosie „Prometejada“ zajmuje odrębne miejsce. „Denaidy“ to przepiękna baśń liryczna. „Siedmiu pod Tebami“ rapsod w homerowskim stylu, „pobudka do boju“ wedle słów Arystofanesa w „Zabach“. „Persowie“ rozdzwaniają w wszechświecie i wszechczasie wrogów porażkę i Grecyi sławę. „Orestejada“ z posad wstrząsła sumienie ludzkie. Nad Atrytów domem zaciężyło Fatum, nieubłagalne Dike, zależność następstw od przyczyn, lecz Furye, ścigające bezlitośnie swą ofiarę, stały się nienawistne ludziom i bogom, skoro sama Pallas Atene wystąpiła przeciw nim, a roztargnięcie zatargu z niemi zdała na sąd areopagu. Górą mądrość ateńskiego ludu! Sumienie ludzkości górą! Przez ludzi ugłaskane, złagodzone bezwzględne Eumenidy, z nie-

ubłaganych fury przedzierzgnęły się w „wielebne“. Karmicielki jadowitych węzów dostały u samych wrót Aten siedzibę w gaju oliwków, ołtarz i najuroczystsze ze świąt Atyki: Panateje. Wyrozumienie i współczucie stanęło do walki z dziedzicznych obciążeń groźnem przeznaczeniem.

Eschylos mówi w Persach, że „język ludzki wolnym został jak i myśl“. Przedwczesna to zapewne, Grekom właściwa chępliwość, zapowiedź tego, do czego dotąd dążymy jeszcze. Bądź co bądź pamiętne wrota niezależności myśli i mowy otwierające słowa. W Prometejadye niezależność w czyn się wciela i z kolizji Władzy i Olimpu z przedstawicielem ludzkości, ogniobiorcą, Prometej, to jest ludzkość, wychodzi zwycięsko.

IV.

Scena „Prometeusza w okowach“, drugiej, doszłej do nas niemal w całości, części triologii Eschylosa, otwiera się na okolicę skalistą, pustą, dziką. Kolchida to, inaczej Scytia nadmorska, kędy argonauci widzieli niegdyś zlatującego, krwiożerczego sępa, kędy Diodor z Sycylii (XVIII, 83, Expedet. Alex. V, 3) pokazywał Aleksandrowi skalę, do której przykuty był ogniokradca. Miejsce to wygnania i wiekuistej tęsknoty. Ludzka tu, rzekłbyś, nie powstała stopa. Okutego w kajdany Prometeja wwożą dwie godne siebie i dopełniające się postacie: Gwałt i Przemoc. Pierwsza to narzędzie ślepe. Zadanie też swe spełnia w niewzruszonym milczeniu. Druga należy do najwstrętniejszego ze społecznych elementów, do tego, co pośredniczy pomiędzy kierującą władzą a ślepą siłą gwałtu, odznaczać się zwykłą znamioną służalczością i ustawiczną chwałą „samowładcy“ (Pr. w ok. w. 52)¹⁾. Przemoc „głos ma

¹⁾ Przy cytatach dosłownych z „Prometeusza w okowach“ oznaczać będę tylko numer wiersza.

dziki jak i postać całą". Wierzy w siłę młota i pięści, szydzi z mądrości i miłości, nagli do pośpiechu Hefajsta któremu przez wyrafinowane okrucieństwo Zeus polecił przykuć do skały Prometeja, przyjaciela, towarzysza pracy. W ten to sposób ojciec bogów karał najlepszego z Olimpijczyków, że nie ustrzegł przed współpracownikiem „klejnotu, którego był panem” (w. 9).

Grecki przedstawiciel ognia, jako żywiołu, Hefajst odbiegł daleko od potwornych koncepcji wytworzonych pod grozą kataklizmów przyrody. Nie przeraża jak Pfa egipski, nie pożera jak Teotl meksykański i Molloch fenicki; owszem, słynie z twórczości, artyzmu, pracowitości, gościnności, pogody umysłu, humoru, dowcipu, wielkiego serca i najczęściej w parze z wielkim sercem i rozumem chodzącej dobroduszości. Przeobrażenia tego Grecya dokonała w swem zaraniu, bo już z homerycznej pieśni wyszedł skończony „szczęściodajny” Hefajst, do którego Lasona wiodła trzyletnią Artemidę, by „spojrzeniem błogosławił” (Kalimach. 72) jej dziewczecze.

Tylko Horacy zwie go „krwi cheiwym” (k.III, 4, „ad Calliopem”). Pomiędzy rzymskim Wulkanem, któremu broń poświęcano, a greckim budowniczym Olimpu, snycerzem Achillesowej tarczy, jest przepaść cała. Ten jeśli był czym wrogiem to Aresa chyba a i na tym gagatku niewiernej a przepięknej swej małżonki mścił się nie żelazem a podstępem, oną siecią złotą, w którą pochwyił „sążnistego pacholka” wraz z wiarołomną Kiprydą, wywołując homeryczny śmiech na Olimpie całym (Odysea VIII w. 343).

Rycerski i wdzięczny wychowanek Tetydy, przedziwnej boginki, co nad niebiosa ukochała śmiertelnika Peleusza, a strącone z niebios przez złą matkę Herę, dziecię, wychowała z macierzyńską pieczołowitością; druh od serca Dyonizesa, druh Kabirów, Prometeusza, Pallady! rzadko kiedy zaglądał na rozpróżniaczony wiekuistymi plotkami i skandalami zaprzątnięty Olimp. Rzadko, chyba gdy trzeba było godzić rozkapryszoną Herę z wiarołomnym Zeusem, lub na doroczne święta i biesiady, na których popijając ambrozyę, niezwykłą swadą i dowcipem, zabawiał swych głupkowatych, olimpijskich krewniaków. Zwykle wiodł żywot pracowity w głębi swych Kuźnic, na Lemnosie. Ztąd bliżej mu było do kmiotów Kabirów. Tu nie drażniły go plotki wszystkowiedza Heliosa. Tu miał pałac, wprowadzie ze spiżu tylko, lecz w dziełach sztuki kosztowność materiału podrzędne ma znaczenie. Tu miał cyklopów robotników rotę całe i dwie milczące robotnice co sam sobie w złocie wykuł, i Charytę wierną, co go tu pocieszała po przeniewierstwach Kiprydy, tu też podejmował Dionizosa i Tetydę. Tu wreszcie, przypatrując się robotom mistrza Prometeja długie godziny trawił na lubyh z Atene rozmowach.

W całej baśni greckiej niema piękniejszego romansu nad platoniczny romans Atene z Hefajstem. Atene choć sama w zbroi zrodzona wzgardziła „prostonogim” kochankiem Kiprydy a tkliwe spojrzenia zwróciła na kulawego Hefajsta. Od surmy bojowej milsze jej były huk młotów i trzask ognia w Lemnosu kuźniach. Jeśli nienawidziła Kiprydę to nie dlatego, że była ona prawowitą małżonką jej przy-

jaciela, lecz że nie potrafiła i nie chciała uszczęśliwić tego, któremu by Atene nieba przychylić chciała. I, wspaniałomyślna niepytała o imię matki Erychtoniusza. Pielęgnowała go, wychowywała, z tajemniczego potworka uczyniła palladium Aten, bo synem był jej przyjaciela.

Czy „kulawego na dwie nogi“, jak go Homer opiewa, kalestwo bardzo szpeciło? Cyce-ron (ks. I, XXX) twierdzi, że nie szpeciło wcale, a z pod dłuta snycerzy wychodzi zawsze choć nie tak prosty jak lekkostopy syn Mai lub Ares sążnisty, lecz wcale przystojny a nawet na jednej płaskorzeźbie (oltarz okrągły w zbiorach kapitołińskich w Rzymie) widać by go można za Apolina, gdyby nie młot w ręku. Gdy dościsnął wieku męskiego pierś miał kosmatą, muskularne ramiona, włos kędzierzawy i krótką brodę (Iliada p. XVIII). Grec-kie to jest niskie czoło przerzynała mu głębokiej zadumy bruzda. Mąż stateczny chlamydy zbywał się jeno przy pracy, lecz skoro mu zwiastowano przybycie miłego gościa, odtrącał miechy i młoty, w srebrną skrzynię składał starannie narzędzia pra-cy, gąbką wilgotną ocierał czoło i dłonie a na ra-miona purpurową zarzucał chlamydę (Iliada p. XVIII).

Anakreon, a za nim w ślad idący nasz Mor-sztyn podpatrzyli go też przy innej, nad wyraz wdzięcznej pracy:

„Na Lemnie mąż Afrodyty,
„Majster wielce znamienity,
„Wziął żelaza raz kawałek,
„By Erosom nakuć strzałek“.

Takiemu kunsztmistrzowi kazać kuć kajdany i to na przyjaciela! Na to trzeba być Zeusem. He-fajst przeklina „rąk swych rzemiosło“ (w. 48) po-mny „krwi i związków“ (w. 44) lecz spełnia wolę ojca swego, a nawet upomina przyjaciela, że sam będąc „potomkiem bożego rodu“ (w. 32) nie oba-wiał się gniewu bogów i „po nad słusność czeił śmiertelne twory“ (w. 33).

Już tu uderza różnica, zaznaczona przez Eschy-losa, pomiędzy Hefajstem a Prometejem. Pierwszy uosobienie ognia, jako elementu, zachowuje karność bierną sił przyrody. Drugi uosobienie ognia jako siły duchowej, karności nie zna. Pokonany przez Gwałt i Przemoc zachowuje dumne milczenie i w obec-ności ich niechce nawet odpowiadać krewnemu i przyjacielowi. Jest w tem oprócz słusznej dumy, wytworna delikatność. Prometej boi się lada sło-wem utrudnić trudne zadanie Hefajsta, wie zresztą, że ten zostaje pod czujnem okiem i uchem Przemo-cy a niewątpliwie służalcza ta postać wprawna być musi w szpiegostwa donosy, bo wszak grozi wiel-kiemu budowniczemu Olimpu „wszechwidzącem“ okiem Zeusa (w. 55).

Hefajst odchodzi z „drżącą“ od łez żrenicą, lecz sama bogdaj Przemoc „dzieła mu nie zgani“ (w. 64). Teraz skarga wybucha z rozdartej piersi tytana. Wylewa ją na łono czułych Oceanid i oto, od morza, na rumaku spienionym „pędem myśli bez cugli“ (w. 268 — 360) przybywa Okeanos, *persona gratis*, dostojnik pełen powagi a i nadętości. A je-dnak, nie mało dostojnik ten, waży naszego boha-tera, skoro dla odwiedzenia go, zdecydował się opu-

ścić swe kryształowe „ciche groty“. Te groty kryształowe jakże plastycznie i malowniczo odskakują od „skał żelaznych“ na których „wiednie... młodzieńcze ciało“ przykutego do nich skazańca.

Okeanos ma na ustach same „mądre“ rady, mądrością zowiąc przezorność i ustępstwo silniejszemu wrogowi. Znajduje on, że „duma nie popłaca“. Doradza „powstrzymywać moc słowa“. Dyplomata to giętka! Otrzymałszy odprawę we wdzięcznych lecz gorzącą ironii zaprawnych słowach, wraz z radą, by o własnem myślał bezpieczeństwie, Okeanos nie czeka, by mu to powtórzono raz drugi i choć szczery był współczuciu i dość skory „choćże“ na dobroć serca, odjeżdża tem śpieszniej, że i jego rumak spieniony żądny w domowej zagrodzie „strudzone zgiać do snu kolana“. Przestrzegł, ofiarował protekę, swoje zrobił i, nie zrozumiałszy ani pobudek, ani doniosłości czynu, który zwie „nierozsądnym“, ani stałości i dumy przyjaciela śpieszy z powrotem „w obejście domowe“. Wyborny, nie starzejący się nigdy, typ doradcy! Molière nie stworzyłby wierniejszego.

Z kolei zbiega na scenę Hermes. Czarodziej, jakich mało, jeśli wierzyć mamy mnogim jego po muzeach rozrzuconym wizerunkom; syn Mai o złotych kędziarach, odstających co prawda nieco uszach, ale to dlatego, by lepiej w przelocie mógł chwycić przeróżne wieści i plotki, o leciuchnych uskrzydłonych sandałach i czarodziejskiej laseczce, co ludziom oczy otwiera i zamyka, stosownie do potrzeb najswywolniejszego ze zbereźników Olimpu, patrona podróży, kupców, włóczęgów, oszustów,

izłodziei. Zręczny do wszelakich sztuk i wykrętów, zdolny przypiąć miecz Perseuszowi na święty bóg z Gorgoną, mówca, jakich nie było i nie będzie, gdyż dziś jeszcze zasłuchiwać się można do niekończoności w ciche a potężne słowa w bronzie zaklętego (Wiedeń, Muzeum), umie on niestety, kraść konie samemu Heliosowi, jak to nam przekazał w lazurach pogodnego krajobrazu Albano (Paryż, Luwr) a Zeusowi w swawoli jego oddawać od swawoli samej brzydsze usługi. Szybkonogi rzadko gdzie przysiadzie i zaduma się jak ów przepiękny w bronz zaklęty, w Neapolu. Częściej wykręcony na pięcie, jak we Flerency, na odlocie, w pośpiechu, z Zeusa rozkazem lub we własnej, zwykle podejrzaney sprawie.

Lecz nigdy chyba nie był tak wstrętny jak w tej wycieczce na Kaukaz. Ze zlecenia Zeusa wywiązuje się „śludze nowożytnemu nowego pana“ (w. 849 i dalsze). Już z nadętej „pyszałkowatej“ jego mowy znać dworaka służalca. Złośliwy, zuchwały wymyśla Tytanowi, do którego kolan nie dorósł. Cieszy się z nałożonych nań więzów, uraga mu. W roli, jaką mu każe odgrywać Eschylos, byłby poprostu wstrętnym i ohydny, gdyby go nie ratowała pewna naiwność pacholęca, to go też Prometej ma za „głupsze od chłopięcia“ pacholę. Uduje on naiwnego, gdy się niby dziwi, że go Prometej zalicza do rzędu swych wrogów. Zwykły to wybieg posłańców i służalców. Lecz jest naiwnym, szczerze naiwnym, gdy się obraża za to, że go Prometej traktuje jako pacholę. Rys to bardzo subtelny. Mło-

dość Hermesa jest łagodzącą jego zachowanie się okolicznością.

Że syn Mai był krasomówcą kto wątpi, z tych zwłaszcza, którym się zdarzyło godziny całe wsluchiwać się w wymowę w bronz zaklętego w Wiedniu. Tu jednak woźny Zeusa jest niezgrabnym i niedołącznym rzecznikiem. Powtarza z góry wyuczoną lekcję, bez przekonania, lekkomyślnie i poprzysiadz można, że mu schlebia bardziej to, że niesie poselstwo tak znamienitemu jak Prometej skazańcowi, niż to, że jest Zeusa posłańcem. Władzy Zeusa schlebia, wchodzi to w zakres jego służalczych obowiązków, lecz ten przykuty do skały, obezwładniony tytan imponuje mu, boli go to, że go nie bierze ani na chwilę na seryo, wymyśla mu od „mędrków, bluźnierców, złodziei“, lecz bądź co bądź traci wobec niego swe krasomówstwo i odnajduje je dopiero pobudzony widokiem pięknych a „jak sarny w zdradziecko napięte sieci“ biegnących Oceanid. Wówczas słynna wymowa Hermesa zaostrza się w szermierce zwięzłych pytań i odpowiedzi, aż wezbrana wylewa się rwącym potokiem. Rzeźbi słowem, maluje, porywa, by tylko powstrzymać te piękne, by nie ginęły „w fali nędzy“ tego dostojnego skazańca co „jak rumak nowy, wędzidłem ściągany, dęba stając, rwie lejce za sobą“ (w. 914). Przez ten wybuch gorącego słowa Hermes odzyskuje równowagę właściwą wszelakiej greckiej koncepcji. Grecya nie malowała nigdy ani bogów swych, ani ludzi, całkiem na czarno, lub całkiem na biało. W każdą duszę, na wzór przyrody, rzucała chociażby jedno złote ziarno, dobra lub piękna.

Przez cały niemal ciąg dramatu, Oceanidy, stanowiące chór, towarzyszą Prometejowi. Aug. Wil. Schlegel utrzymuje, że były w liczbie piętnastu. Są one najwdzięczniejszem wcieleniem kobiecości i liryzmu. Nagie, bose, złotowłose podpływają do skały tak cicho jako „szelest ptasi“ (w. 191), „jako szmer skrzydeł mącący niebios ciszę“. Mają w sobie coś anielskiego. Na pierwszy jęk bólu przyjaciela, zbiegły się uroczę i nieśmiertelne, jak w litość zaklęta dusza kobieca. Odszedł Hefajst, odjechał Okeanos, Hermes urągał, groził, lżył, one skałę otoczyły pieszczotliwych ramion pierścieniem, usiłują ból ukoić, doradzać się ośmielają. Dla nich ten, co litości nie zna, „serce ma z głazu, pierś z twardego kruszcu“ (w. 228). Ich źrenice zaszele łez „mgłą białą“ nie zniosłyby blasku Zeusowej twarzy, boją się go okrutnie, lecz przyganiają mu za „żelazne ramię, co oszezep zguby na dawne rzuca wielkości.“ Śmiałe są, wytrwałe choć łagodne i ciche, a zwłaszcza już wierne są i kochające. Zgodnie z zadaniem chóru doradzają wprawdzie nieśmiało przyjacielowi „ukorzyć się przed przeznaczeniem“ a nawet pytają go czy się nie poczuwa do winy? lecz wiedzą dobrze, że nie ich rzeczą sądzić i potępiać. Im płakać, wtórować jękom przyrody, biadać, że minął „czas Tytanów“, tęsknić za chwilą słoneczną, gdy dziś w okowach sterany ich przyjaciel „wolny, z Zeusem zrówna się potęgą“. Nie wątpię o tem bo — kochają. Tylko z gorącej miłości wypływać może niezachwiana wiara. Te lękliwe, ciche, bosonogie silne miłością oburzają się na doradzającego im

zdradę Hermesa i z ukochanym chętnie do Hadesu idą (w. 967).

Niezrównana liryczna świeżość Oceanid, równoważą zbytnią grozę do ostateczności naprężonej sytuacji. Z gromem słów Tytana, miesza się szmer słodki, kojący, głos chóru, głos, wedle prawideł greckiego dramatu, doradczy, ostrzegający, echo podań, wierzeń, zrozumień, sympatii widzów, tłumu, kamerton, wedle którego dostraja się sumienie ogółu. Z chóru Oceanid, w dramacie Eschylosa, wnosić możemy o popularności, jakiej używał ognio-kradca. Pomimo czci, oddawanej supremacji Zeusa, cierpienia Prometeja uważane były za krzywdę wyrządzoną sprawiedliwemu, nie zaś za karę wymierzoną winnemu.

Lecz jeśli Oceanidy stanowią integralną część dramatu, to Ijona, chociaż, w krótkim tym akcie tryologii, zatytułowanym „Prometej w okowach”, zajmuje stosunkowo wiele miejsca—trzysta wierszy na 988!—zdaje się zbytecznym, od rzeczy oderwanym, luźną nicią z treścią związanym epizodem, naruszającym bodaj prawdziwą jedność akcji. W całości Prometejady i wobec trzeciego jej aktu, *Lumos*, epizod ten miał rację bytu. Jest on mistrzowskim zestawieniem dwóch ofiar zemsty i nienawiści Zeusa i Hery, boć wbrew twierdzeniom Dion Chryzostoma (Orat. VI), tak ojciec bogów, jak jego prawowita małżonka pełni byli zawiści i nienawiści. Pani o turzej żrenicy i złotych sandałach to impetyczka co, jeśli Iljadzie wierzyć mamy, bije po twarzy Artemis. Nie ufajmy jej, gdy w Museo Chiaromante, w Rzymie, z taką prostotą usiadzie, by własną piersią

karmić Heraklesa, poza to, fantazyja złej matki, co własne dziecię Hefajsta okaleczyła okrutnie. Dopiero Roma zrobiła z Junony prawowitej małżonki Cezara Jupitera,—patronkę majestatu małżeństwa w patrycyacie. W Grecyi „bialoramienna” jest najpospolitszą, chociaż Olimpijską sekutnicą, zazdrośnicą, co jak w ludowym teatrze Gherardi’ego, każe sobie co wieczór odnosić klucze niebios, by się Zeus nie wymknął czasem na swe pozaolimpijskie miłostki. Wobec tego chętna bierze rozgrzeszyć go za ustawiczne łamanie małżeńskiej wiary. Wytrzymać z taką babą...

Znęcała się nad Ijoną, Iehtonosa nieszczęsną córą, dopóki szczęśliwe niegdyś i wesole dziewczę nie zmieniła na „powiedlą, mściwością jej gnana tułaczkę” (w. 811).

Błędnie tłumaczył, zgoła zresztą Eschylosa nie rozumiejący — Francuz Dacier (1651 — 1722), rolę Ijony. Utrzymywał, że wbiegała na scenę w postaci jełowicy. Większe zaufanie wzbudzający krytycy mówią, że tylko lekkie rogi nad czołem przypominały opowiedzianą przez Owidyusza metamorfozę. Ów *griez* przypowieściowy to „strach”, przed którym „wzrok jej lata jak ptaszę przed burzą”, to „wicher obłąkańca”. Tak to określa Eschylos, a Prometej prorokuje jej powrót do „przytomności ducha”. Kaprys gromowładcy i złość Hery sprowadzają straszne niedole i słusznie lękliwe Oceanidy błagają wyroczone Moiry, by je strzegły przed okiem ojca bogów. Charakterystycznym i bardzo kobiecym rysem Ijony, że cierpi, szaleje, lecz nie wyrzeka na obojętnego na jej los kochanka. Współczuje nie-

doli Prometeusza, a ten pociesza ją przepowiednią, że jego wybawcą będzie właśnie jej potomek. W tem tkwi potężny węzeł, spajający epizodyczne w akcji drugim zjawienie się Ijony z jądrem dramatu, którego bohaterem, do wspólni z Prometejem, jest zaledwie tu wzmiankowany, „Mistrz łucznik” (w. 785) Herakles, olimpijskich igrzysk założyciel, kochanek Hebe, to jest wiekuiestej młodości. Bohater wypełniający najpiękniejsze karty baśni i życia Grecyi, którego rapsod z nieznurzoną ciekawością czytała i odczytywała, dłutem mistrzów rzeźbiony na ścianach, świątyni w Olimpie. W nim ubóstwiała samą siebie. Jest on uosobieniem najwyższej męskiej, dojrzałej piękności, zespoleniem siły z dobrocią, czy to kiedy w Neapolu spocznie po trudach o maczugę wsparty, czy to kiedy w Paryżu, z tkliwością tuli w potężnych ramionach niemowlę Telefa.

Gdy w rozmowie z Ijoną, Prometej mówi o nim, jako o „chłopięciu” w myśli staje bazaltowy, odkopany na Awentynie (Rzym, Kapitol), pucłowaty, uśmiechnięty olbrzymek. Takim był gdy kąsał dziewczą pierś Atene; takimi grubemi, krótkimi piąstkami dusił węże w kolebce swej, a w Delfach wydzierał uparcie trójnog Apolinowi, aż urósł wreszcie na tego, całego w złocie olbrzymia, co w Watykanie góruje nad ludem marmurowych bogów. Olbrzym ten chadzał zawsze dostępnymi śmiertelnikom drogami: pracy i wytrwałości, odwagi i cierpliwości. Najpiękniejszą o nim opowieścią opowieść Proklusa o największem i najtrudniejszym z jego zwycięstw, tem, które odniósł nad samym sobą.

Herakles podwójną cześć otrzymywał, w odrębnych świątyniach: jako bóg i jako bohater. Bohater przeżył boga i już Arystofanes, wątpiąc bardzo o jego boskości, podziwiał jego bohaterstwo. Za Eschylosa nie nie tamowało rozmachu jego ramienia. Wszystko mu było dozwolone, nawet stanąć w poprzek wyroków Zeusa. Nie był że on uosobieniem ludu, co rozstrzygał spór pomiędzy przemadrą Atene i nieubłaganemi Eryniami? jeśli gdzie to do Greków stosują się słowa Apollodora („De Deo Socratis”), zwiącego człeka śmiertelnym, lecz ludzkość nieśmiertelną. Zwykle w rzeźbie klasycznej widzimy człowieka jako karła lub dziecko, w obec wzrostu bogów. Na jednej tylko płaskorzeźbie przechowanej w Luwrze, a przedstawiającej przymierze ateńskiego ludu z Atene, obie postacie: wyobrażająca lud i wyobrażająca największą z bogiń—są pod jedną miarę.

V.

Hefajst, Okeanos, Hermes, Iyona Komparsy w dramacie Eschylosa, płaskorzeźba do koła olbrzymiego cokułu, na którym góruje Prometej, Tytan. Same Oceanidy, to przyciszony akompaniament, łagodzący wysokość wyciągniętej nuty bolu protagonisty, co wypełnia dramat cały, mocując się z niewidzialnym lecz obecnym Zeusem, i choć pokonany na razie przerasta go o niebo całe.

Niektórzy poważni krytycy, jak Welcker na przykład (Trilog: str. 30) i Hermann (Aeschyl: II op. t. II, str. 146), sądzą, że rola protagonisty w greckim teatrze recytowana była za sceną, a na scenie przykutego do skały Prometeja przedstawiał manekin. Do wniosków tych upoważniało niezwykle zjawienie się zaraz w pierwszej scenie trzech na raz aktorów: bohatera dramatu, Hefajsta i Przemocy. Ale Prometej milczał zanim Przemoc uosabiający aktor nie zszedł ze sceny. Wyczerpująca rola protagonisty wymagała w tym odłamie tryologii Eschylosa, który znamy, niepospolitej miary aktora. Wie-

my, że takich nie brakło Grecyi i dziś jeszcze możemy sobie łącznie wyobrazić w tej roli naszego Królikowskiego lub Mounet Sully, co tak przepysznie potrafił ocalić Edypa króla i zamarzył o wskrzeszeniu greckiej sceny, w ruinach amfiteatru, pod niebem Prowancyi.

W Atenach Protagonista, największy zresztą ze znanych protagonistów, mocował się z niewidzialnym lecz obecnym Zeusem. Zwycięstwo wypadło po stronie pokonanego. Jakże to się stało? Nie był że Zeus nietylko gromowładnym ojcem bogów, lecz przedstawicielem ładu, dzierżącym w dłoni, łańcuch, na którym zawieszono są łądy i morza. (Iljada w. 374). Wiadomem że nie było, że wsze moce Olimpu niemocne były łańcuch ten przesunąć o jedno ogniwo w dzierżącej go dłoni, o całość, o jeden obniżyć Zeusa. A jednak jakże zmałał w walce z Prometejem. Umniejszyło go to, czem w danej chwili posługiwał się jako siłą: Gwałt i przemoc. Dłoń Zeusa nadużyła władzy, a zkaż inąd serce jego tak do bezwzględnej władzy przyłgnęło, że zaczęło mu drzeć w nieśmiertelnej piersi trwogą o utracenie żdźbła, cienia żdźbła absolutyzmu. Nieśmiertelność kończy się tam, gdzie wchodzi lęk, gwałt i samolubstwo. Zkaż inąd sumienie gromowładcy nie mogło zaznać spokoju po nadużyciu tak lubej mu władzy, czuło, że mu coś grozi. Nad dramatem Eschylosa obecny choć niewidzialny Zeus postradał Olimpijski spokój i majestat Zeusa Serapisa, w Watykanie. Nie nabrał jeszcze łagodnego, niemal Chrystusowego oblicza popiersia, noszącego w watykańskich zbiorach nazwę Jowisza del Vale. Nie jest to piękny

młodzian, co się zjawia z lotnym orłem, zamiast piorunów w dłoni. To możnowładca na wzór rzymskich cesarów: Nerona, Heliogabala, Tyberyusza. Opór go o wściekłość przyprawia. Zresztą pan to nowożytny, wczoraj zaledwie dorwał się do władzy, więc i jak każdy parwenjusz „niepowściągnięty w dumie” i wie, że Prometej, ofiara jego przemocy, starszy odeń, dojrzałszy, znakomitszego rodu lato-rośl, że nim gardzi choć czuje jego piętę, na swym karku, jego szpony w swem łonie. Ten „nienawistnego błagać nie potrafi”, nie ukorzy się przed zwycięzcą, „milenia nie złamie pierś cicha”, jego nadzieją—powiedzmy zemstą samowola Zeusa co

„. Sam na siebie zbroi
Przeciwnika, cud siły olbrzymiej
Co znajdzie płomień gaszące błyskawicę
Blaski, a w piersiach głos, co grzmot przechuczy”. (w. 829).

Dla Tytana z dziadów pradziadów, „nowotny pan Olimpu jest jeno panem dla gwałtu, przemocy, Okeanosów i Hermesów, służalców i dworaków. Dla nich ma milczenie wzgardy w piersi cichej. W obec każdej niezasłużonej krzywdy, jakiej doznajemy czy to od ludzi czy od ślepego losu czujemy dziewiczy srom bólu, co usta ściąga przed lada szmerem „ciekawości skrzydlatej” (w. 191). Nawet zbliżanie się przyjaznych istot wywołuje lęk w zranionej duszy, a chociaż zwyczajem jest utrzymywać, jakoby nie-szczęście i ubóstwo nie hańbiły, rumienia one czoło dziwnie gorącym obłokiem i wiedział dobrze o tem największy może z psychologów, Eschylos, wiążąc w ustach Prometeja słowo: „męczarnia”, ze słowem

„hańba” (w. 96). Wrodzona nam duma od niedoli tak nieraz cierpi jak od obelgi, tem krwawszej, że na nią odwetu nie ma. Zresztą płodem cierpienia nieufność, co rzadko kiedy taje pod nieklamanoego współczucia technieniem, pod cieplej przyjaźni dłonią, zwykle kłębi się w milczeniu lub jeży odpor-nie. Takiemu odruchowi ulega Prometej, gdy pyta z goryczą Okeanosa czy przybył, by być widzem jego męczarni (w. 275). I on jak Okeanos teraz, był niegdyś nie tylko przyjacielem Zeusa, lecz jego dobroczyńcą, rządów spółtwórcą. Nie skarży się przed Okeanosem, lecz Zeusa oskarża, a od własnych swych cierpień odrywa uwagę swego gościa, mówiąc o losie Atlasa i zgruchotanego olbrzyma, Tyfona.

„Niechże nadbiegną Oceanidy, obnaży się, otwo-rzy „piers cicha”, przyzna do „wielkiej żaloby” (w. 137). Te wtajemniczy w same szczegóły swej męczarni, pokaże im pierścień, którym go do skały przykuto, kamień, na którym go „na stróża skałom rozpięto” (w. 139). Tym opowie o życiu swem, czynach, zamiarach, przed temi wyleje swą boleść by“... w koło rozpierzchnięta Na mnogich piersiach usiadła litośnych (w. 260).

Skarga rzewna lecz krótka. Prometej woli pocieszać, niż się żalić: pociesza Oceanidy, pociesza biedną Ijonę. Hardość wraca mu i zaostrza się w zetknięciu z Hermesem. W obec tego „nowego pana sługi nowotnego” (w. 849), nie zegnien hardego karku, ku temu „braknie wiele, wszystko braknie”. (w. 870). „Nienawistnego błagać nie potrafi” (w. 909). Patrząc na Hermesa znajduje, że lepiej być „stró-żem skalnych granitów, niżli Zeusa woźnym” (w. 878).

Zeusa nienawidzi on tyle, ile nim gardzi, nienawidzi nienawiścią nieoddzielną od każdej wielkiej miłości, za każdą idącą jak cień nieuniknioną; z nieprzeparowaną siłą zwracającą się przeciw wszystkiemu, co tej miłości ujmę przynosi. Wie on, że taka nienawiść „chorobą nie jest” (w. 885). Nienawidzi Zeusa całą siłą swych ukochań, a ukochał światło i ludzi.

Za cóż tak bardzo ukochał ród człowieczy? Czy w „patrzących, a niewidzących.... słuchających a niesłyszących”, odgadł praojców Solonów i Leonidasów, Eschylosów i Fidejaszów; czy wiedział, że iskra, którą ich obdarza „mrówki” te zmieni w „wolnych, co się z Zeusem zrównają w potęgę”, czy też, obyczajem bardzo wielkich serc i umysłów; właśnie za małość ich i słabość mrówki te ukochał? Wszak zeznaje, że go „litość zbawiła litości” (w. 227). Był z rodu tych, co już za czasów Homera wiedzieli, (Odysea), że „mniej pociechy być zylm, niż dobroczynnym”. Mylił się Plutarch, czyn Prometeusza nazywając „rozsądnym”. Rozsądek nie rodzi wielkich natchnień, na to trzeba przekraczającego granice rozsądku genjuszu lub wielkiego serca, zaparcia się siebie, ofiarności. Prometej co bądź przedsięwziął, przedsięwziął z „wolnej woli” (w. 251). Tu już twórczości logika uniosła Eschylosa, kornego czciciela przedwiecznej *Ananke*, po za granice jego wierzeń. Poszły w niepamięć Moiry trójciałe i Prometej nie tylko w filozoficz-nem, lecz i w artystycznym znaczeniu prześcignął Orestesa, któremu bierne poddanie się wyrokom przeznaczenia ujmuję bądź co bądź bohaterskiej skali, a akcyę dramatyczną pozbawia głównej osi:—walki.

Prometej pełen wolnej woli, czynu świadom, wie co go czeka, zna cenę swej ofiarności, mierzy ogrom cierpienia. Ah! poznał całą gorycz i nudę przymusowej bezczynności! Poznał wagę czasu, którego więzień Kaukazu więcej ma, „niżby życzył sobie”; poznał wygnanie i osamotnienia tęsknoty, opuszczony od bogów tylu „ile do Zeusa wchodzi ich podwoi” (w. 119). Wie on dobrze, że mu „żadna boleść nowością nie będzie” (w. 102) i nie bez gorzkiej ironii zwraca się do Okeanosa:

„Łatwo to radzić i czynić uwagi,
Jeśli stóp naszych boleść nie splątała.” (w. 248).

Gdy boleść stopy spęta, najtrudniej już obrać się tym lotnym, co niebios sięgać radzi. Z trudności tej winniśmy zdawać sobie sprawę, lecz to nie powinno nadwierać naszej stałości: „baczyć nie trzeba gdzie postanowiono” (w. 905) i wytrwać trzeba chociażby się „świat w kawały spękał.” (w. 897) bo wie, że „od wroga cierpieć nie ujmuję cześci” (w. 943). Samowiedza własnej wartości nie jest pychą, jest szlachetną dumą i często skutecznym puklerzem przeciw pociskom ludzi i losu. W niedoli swej Prometej szuka pociechy na łonie Oceanid, współczuje Ijonie, myślą sięga w przyszłość daleką i siły swe krzepi wspomnieniem udzielonych już ludziom dobrodziejstw. Wylicza je. Dał im leki, narzędzia potężne, nauczył zapręgać do wozu rumaki „zbytku towarzysze,” okrętom żagle przypiął, dach nad głowami bezdomnych rozciągnął, tajemnice przyrody odsłonił, liezb i znaków piśmien-

nych udzielił, słowem, dał „rozum i samowiedzę” (w. 400) i pamięć cenną „wielkich dzieł muzy wielką stworzycielkę” (w. 418); słowem wszyskiego nauczył biednych śmiertelnych (w. 452)... „ślepą w ich piersiach obudził nadzieję” (w. 226) i przezorny bardzo, na samą przyszłość zamknął nam oczy (w. 224).

W nieprzebranej gamie cierpień, którym Prometej mężnie i świadomie stawia czoło, jest rzecz, której by nie zniósł „szyderstwa zwycięzców” (w. 154). Najtrudniejsze to istotnie do zniesienia! I jakże nawskroś ludzkim jest Prometej w tym odcieniu słabości! Pan Kazimierz Kaszewski w studium, którem poprzedził przepiękny swój przekład Eschylosa, nazywa „Prometeusza w Okowach” brylantem, olśniewającym blaskiem najwspanialszej idei ziemskiej. To właśnie czyni go nam tak bliskim, pokrewnym, zrozumiałym. Ideę oderwaną Eschylos przyoblekł w konkretną skończoność, zindywidualizował. Pierzchyły zaciemniające myth zawilości i sprzeczności. Ruda odpadła od złota, a w złocie tem Eschylos fidjuszowem dłutem swego słowa wyciosał posąg nad posągami, obdarzając wszystkimi cechami indywidualizmu, oświecając prawdą niezbitą, bo poetyczną, niezależną od historycznej zawilości i przygodności, to też dziś nie tylko wgłębiamy się w treść jego dzieła, lecz podziwiamy jego poetyczną i plastyczną stronę. Najprostsze, na pozór, środkami Eschylos wywołuje najsilniejsze, jakie się da wywołać, wrażenie — nastrój wedle modernistycznej gwary. Rysów parę, parę barw zasadniczych i oto gotowe ludzkie posagi i malownicze nad wyraz wszelki obrazy. Lecz rysy lapidarne a barwy żywe i prze-

zrocze, nawet gdy spływają po złotowłosych deaniadach, w najsubtelniejsze odcienia. Stróż skalnych granitów, sam Prometej, tkwi prosty i olbrzymi, w wielkim stylu osiągniętym potem chyba przez samego Michała Anioła. Okeanos ze swemi rumakami odrywa się, rzekłbyś, z fryzu z Pergamy. Oto jednym słowem Prometeusza wywołany Atlas już się ugina pod swym ciężarem. Oto Hermes wykręca się i fika jak ten tam w Bargello (Florencya) lany przez Jana z Bolonii lub staje własnego krasomównstwa potokiem porwany, jak ów brązowy, cudny *Locos*, w Wiedniu. Oto Hefajst młot dźwignął z homerycznym rozmachem a Gwałt i Przemoc tak wyglądają jak gdyby się dopiero wyłoniły z poszarpanych bioder Marsa Carrary, strugane wyobraźnią Buonarotiego, lub z silnych a chaotycznych szkiców płaskorzeźb Biegasa. Oto „drogą ptasząt” nadlatujące Oceanidy, tak polotne, tak czyste, jak one anielskie chóry, co wyszły żywe z pod pędzla Fra Angelico. Każdy tu wiersz ma etyczną i estetyczną wagę, wagę ma słowo każde.

Genjusz i dzieła Eschylosa niepodobna mierzyć łokciem ani nawet Szekspirowskiego dramatu, a cóż dopiero dramatu mieszczańskiego lub chociażby wytworzonego podmuchem mglistej Skandynawów fantazyi. W „Prometeuszu w okowach”, genjusz Eschylosa znalazł właściwe sobie ujście: groza dościgła fantastycznych szczytów, zerwała z ziemią, lecz z jej rodzimych pierwiastków wzbiła gmach swój nadziemski, głównego bohatera wiążąc z ludzkością węzłami wspólnego interesu i uczuć wspólnych. Na wytworzenie potężnego akordu złożyła

się prostota mythu Hezioda, z doskonałą, nawet w klasycyzmie wyjątkową, jednością treści, czasu i przestrzeni. O akcyi, w pospolitem, teatralnem znaczeniu, mowy tu niema. Właściwa akcja, w nowożytnem rozumieniu — kończy się z pierwszą sceną, wraz z przykuciem skazańca do skały. Katastrofa końcowa nie jest akcją właściwie, jest katalizmem. Cała akcja jest wewnętrzna, poza granicami czasu i przestrzeni, wiekuista a rzecz cała zwarta w zamknięty a pełny akord. Niespełna tyśiąc wierszy; dziewięć scen tylko, stosownie do dzisiejszego układu; jeden i to skrupowany protagonista, komparsów jest chór ograniczony jak nigdzie chyba u starożytnych i oto stanął kolos tragizmu, filozofii, piękna, dzieło monolitowe, z prostotą, miarą, ładem, porządkiem, siłą i zarazem wdziękiem greckiego budowania.

W zamiarach Eschylosa nie leżało zachwianie powagi Zeusa. Nazbyt był prawowiernym, autor „Błagania“, zwykł pokazywać widzom Zeusa w całym blasku apoteozy. Tu jednak zaszło coś dziwnego. Zeus tu, znany zaledwie ze słyszenia, jakby to powiedział Arystofanes, z tego jak przedstawiają najgorsi chyba z jego władzy przedstawicieli: Gwałt i Przemoc, wykretny Hermes, nadęty Okeanos. Bywa bo, że rzut szczerzego geniusza prześięgnie najpobożniejsze intencje autora, lub się z nią zgola rozminie, wierny logicznemu rozwojowi tezy, którą objął, kreśląc w locie nieobrachowaną parabolę.

A potem... chociaż za dni Eschylosa Grecya dościgła swego zenitu, zbliżała się chwila skłonów i

bankructwa Olimpu. Przyczyniły się do tego tragedya, a zwłaszcza już komedya.

Epos jest głosem wieków odległych, podań, wierzeń, czci. Dościga niebios podwoi, potraça o piekieł wrzeciąże i porywa serca płomienne a jeszcze proste i w prostocie tej głuche na dźwięk doryckiej, arystokratycznej ody lub sonetu subtelności nieco sztuczne. Sprzeczności, w które obfituje epos, słuchacze nie dostrzegają, tymczasem plastyka sceniczna ściga niebo na ziemię i żadnej sprzeczności ukryć się nie da w oku jawy dziennej. Zresztą dramat nie tylko na czas przedstawienia wpłata widza w danych przygód, uczuć i wrażeń koło. Wraża się w pamięć jako rzecz widziana, przeżyta niemal. Wysnuwającym się z jego treści, a czasem nawet z samego sposobu interpelowania go wnioskom, naznaczyć granic niepodobna. Potężny Eschylos podkopał władzę Zeusa tem, że potrafił obudzić tak żywe współczucie dla jego ofiary, że wytworzył — wracając do modernistycznego stylu — *nastrój* i to tem potężniejszy i głębszy od modernistycznych nastrojów, że miał przetrwać wieki, niezdmuchnięty emą nowych, przelotnych, specjalnie egotycznych nastrojów.

Myliłby się też bardzo ten, co z Włochem Perri, chciałby, wobec „Prometeusza w okowach“ twierdzić, że *il solo principio motore dell'uomo è il dolore*. Nie samo cierpienie i nie każde jest bodźcem. Tak dla narodów jak dla pojedynczych ludzi nadmiar a zwłaszcza długi i nieprzerwany ciąg cierpień bywa połączony z niebezpieczeństwem, grozi wyczerpaniem energii, stępieniem poczucia. Bodźcem dodatnim jest współczucie, wywołane widokiem każ-

dego cierpienia, a zwłaszcza już zadawanego niesłuszenie, znoszonego dostojnie. Współczuciem pobudzone myślenie docieka źródeł niedoli. Współczuciem wzruszone serce rwie się ku jej ukojeniu. Źródłami cierpień i niedoli bywają znane lub nieznane, pośrednie, lub bezpośrednie, bliższe lub dalsze, proste lub składowe i zawiłe bardzo rzeczy, zakłócające wten lub owy sposób prawidłowy skład lub przebieg rzeczy. Umysły, dociekaniem rozjaśnione, serca, współczuciem zdjęte, zwracają się ku ideałom ładu, dobra, sprawiedliwości, przystosowując takowe do osiągniętej już przez się etycznej i społecznej skali.

Skala eschylosowego Prometeusza, dotąd się prześcignąć nie dała.

VI.

Zaledwie pół wieku minęło odkąd w teatrze, w Atenach wystawiano dzieło Eschylosa, a oto znów wiekopomnego tego dzieła bohater główny, Prometej, zjawi się na tejże samej scenie, lecz już nie jako męczennik dostojny a dobrowolny, dobroczyńca ludzkości, tytan, a jako karzeł, arlekin, zasłaniający się starym parasolem pod gradem błyskawic Zensa, jako pokątny, wątpliwej wartości, doradca człowieczego rodu. Profanacyi tej dokonał Arystofanes, pisarz genialny, patriota gorący i gorący wielbiciel Eschylosa, tylko że...

Czasy się zmieniły, inny duch wiał z piersi widzów, piętrzących się na stopniach Dionyzosowego teatru. *Thymele*, ołtarz, pozostał na proscenium, ale bogowie uszli z dawnej świątyni. Od szczytów do skłonów krok jeden, tak krótki, jak ten, co dzieli kapitol od Tarpejskiej skały i krok ów fatalny Grecya przekroczyła niemal nazajutrz doby uwieńczonej „Persami” i „Prometejadą”. Dramat się rozwielił. Po Eschylosie i Sofoklesie

u *thymele* arcykapłanem został Eurypides, piewca genialny, ale piewca słabości i namiętności, nie zaś mocy i cnoty. Z Arystofanesem teatr ze świątyni zmienił się w arenę politycznych utarczek, Olimp runął na ziemskie padoly, bogowie przedzierzgnęli się w arlekinów, boginki w facetki, z którymi sobie Arystofanes poczyną z poufalością dosadną. Sztuka, odbiegając od narodowej tradycji, prostoty wierzeń i od zapału przedzierzgnęła się w satyrę nieodłączną od społecznych i narodowych skłonów. Sofiści dokonali reszty. Nawet w rzeźbie Ilkinos zamienił Fidijasza, po wielkości rozwieliła się drobiazgowość, rozproszenie po skupieniu. Grecyi zagroziła strata niezależności politycznej, a w wewnętrznym jej życiu sam kult wyłączny piękna został kamieniem obrazy: wyrodził zniewieściłość. Wymowa popadła w dyalektykę, krytycyzm zabił zapał młodzieńczy.

Pomimo to, przygasłe promienie Grecyi długo jeszcze przyświecać miały światu. Roma przyswoiła sobie jej naukę, ograbiła ją z dzieł sztuki, z bogów, lecz nie wchłonęła w siebie treści Hellady, której za ciasno było pod ciężką rzymską zbroicą, pod gniotem stopy cesarów. Przyswojono sobie greckie formy, lecz nie greckiego ducha, a Rzymianin z bałwochwalczym dyletantyzmem traktujący greckie motywy pełen był wzdury dla podbitych Greków. Gdy Cyceron wije sobie w Tusculanum gniazdko na wzór grecki, wygląda to, jak podrabiana przez braci Kuzniecowych japońska porcelana, bo i któż był mniej Grekiem od Cycerona, kto wierniej przedstawia Romę z jej prawodawczym geniu-

szem i rzymskiej cnocie hartem? Właściwości Romy przepoili, przeistoczyły wzięte od Greków: religię, filozofię, sztukę. Tam, kędy przeistaczające moce nie dosięgły, zapożyczane od Grecyi formy zostały spaczzone technieniem tego, co Grecya, z trójnoga swej nawskroś arystokratycznej cywilizacyi, nazywała „barbarzyństwem”. Grecyi szło o piękno i o miarę, jako piękna zasadę, Romie o wielkość samą, co się tak łączno przedzierzga w potworność. Wszystko się tam składało na cokuł pod tron Cesarów. Co tam mógł znaczyć Prometej! Wszedł był z drużyną greckich bogów — jeśli nie wcześniej w spuściznie od Etrusków, co go mieli od Pelazgów — lecz go tu spotkało to, co spotkało inne greckie bogi: utracił niezależność, przestano poczytywać mu ją za zasługę, podziwiać go przestano. Zeus przewany Jowiszem rozsiadł się na najwyższym wzgórzu nad „foro romano”, a gdy mu Lukrecyusz każe się uskarżać na wypierające go z tej siedziby nowe bogi, to pewnie nie na te, co wchodziły do Romy za wozem tryumfatorów, wraz z okutymi w kajdany rodowitymi swymi wyznawcami, lecz na te rdzenne, rzymskie, co na sąsiednim Palatynie rozwieliwiały się w cesarów pałacach, osławiane, ubóstwiane niezależnie od tego, czy im August, czy Tyberyusz, Marek Aureli, czy Lucyusz Verus, czy Neron było na imię.

Któżby w Rzymie opiewał eschylesowego bohaterą. Niewolnicy lub wyzwoleniec, z których wyrastała falanga rzymskich pisarzy i którym za pieśń płacono nie już dzbanem czystej, źródlanej wody i wieńcem, czcią i miłością, lecz złotem i wzdurą.

W poczcie rzymskich pisarzy roi się od dworaków, urzędników, klientów, mecenasów, pisarzy. Miła im „mierność złota” (Horacy ks. III, o; 10 i ks. I o; 3) lub smagający bicz satyry. Nawet wykarmiony na greckich wzorach Propercyusz gotów złorzeczyć Prometejowi za zakłócenie błęgiego *status quo* (ks. I, ep. 5). Dla Horacyusza, klienta Mecenasas, wykradzenie iskry jest złochem (Horacy ks. I o; 3). Lucjan, Grek z rodu, lecz sługa cesarów, otwarcie staje po stronie Jowisza. Cyceron (Roz. Tusk. ks. XXXIII) pisze przepiękne traktaty o mężnem znoszeniu bólu, lecz nie znajduje słowa uznania dla bohatera, co najniesprawiedliwiej na się narzuconą mękę z największym zniósł męstwem i sam Lukrecyusz oddaje Prometejowi sprawiedliwość (ks. I, w. 65); sam hardy, niezależny Katul wzmiankuje go w prześlicznym epitalamie z zaślubin Tetydy z Peleuszem.

Prometej, wrogi cesarom, obcy plebsowi, niedoceniony przez piewców, usuwał się na coraz dal-
sze plany. Sztuka też nie była dla Rzymian tem, czem była dla Greków: z greckiej kochanki owładającej zmysłami i duszą kochanka, zesła na najemnicę wieńczącą zbytek i rozpustę. Teatr przestał być szkołą narodową, zmieniał się w arenę krwawą, lub cyrk karkołomny i słusznie Aug. Wilh. Schlegel epokę rzymskiego teatru uważa za wielką szczyrbę w dziejach sceny, gdzie sztuka ze szczytów dytyrambu spadła do poziomów mimiki sprośnej. W olbrzymich arenach lały się potoki nie poezji, lecz krwi, gdyż symulacja śmierci nie mogła zadowolnić zalegającej ławy tłuszczy; ginęły naraz setki niewolników lub chrześcijan, ścigali się nie eupatry-

dzi, lecz gladiatorowie podarowani przez cesarów na łaskę i niełaskę motłochu.

Wśród zgiełku, szczełku broni, dzikich zwierząt ryku i jęku konających, któżby mógł myśl swą i duszę wyśpiewać. Zaledwie znaleźli się naśladowcy i tłumacze. Cyceron teatr mianuje szkołą zdrożności, lecz sam przytem próbuje sił swych w dramacie, zatytułowanym „Prometeusz”, jeśli wierzyć mamy Persiuszowi, który się chwali, że dramat ten poprawiał. A i u pisarzy z IV w. po Chr. spotykamy się z wzmianką o jakimś jeszcze dramacie zatytułowanym „Prometeusz”.

Rzym rozpadł się, runął. Chrystyanizm dźwigał słabych i maluczkich, a przyświecała mu Golgota, wobec której malał bardzo szczyt Kaukazu. Pokora, co przebija niebiosas strąciła precz bunt zuchwałe, cierpliwość, co wszystko znosi, wybiegła po nad dumę co cierpienie ukrywa. Zresztą podarowane ludzkości przez Ogniodawcę dobra doczesne były, a doczesność bardzo mało ważyła w pierwszych wiekach chrześcijańskiej przeciw pogaństwu reakcji.

Gdy wyslizgnąwszy się z kleszczy żelaznych rzymskiej państwowości świat się rozpołowił na dwie odrębne, po dziś dzień bardziej, niż to się zdaje niwelacyjnej cywilizacji, obce sobie części: wschodnią i zachodnią, na gruzach Prometejowej ongi ojczyzny rozsiadło się Byzancyum, zastygłe w formułce, do rozwoju nie zdolne, a na zachodnią część rzymskiej imperyi runęły wyzwolonych barbarzyńców rotę, wnosząc z sobą posiew moralnego odrodzenia, lecz i niszcząc to, co im obce i niezro-

zumiało było. I gdyby się nie byli osiedlili w Rzymie „łowcy dusz ludzkich”, co wkrótce w skromne zrazu sieci św. Piora cały zachód ujęli, z olbrzymiego rumowiska nieby nie pozostało. Niewątpliwie tjarze to następców św. Piotra, nietylko miasto, Rzym zawdzięcza, że zostać mogło nieśmiertelnem miastem „la ville éternelle”, lecz, że na rumowisku starej cywilizacji, pod gruzami, przechował się posiew, co o całe tysiąclecie później wzejść miał i zakwitnąć tak bujnie.

Lecz Odrodzenie kazało czekać długo! Tymczasem wojna, ogień, woda, cheiwość jednych, nieświadomość drugich, a i sama moc zaszytych w społeczeństwie przeobrażeń, prowadziły zniszczenia dzieło. Stare dzieje oczyszczano pod nowe, święteczne, zmartwychwstanie znamionujące próżniaki i zburzenie każdego „pandemonjum”, to jest pogańskiej świątyni, zgruchotanie bodaj fidaszowego posagu, poczytywanem było za zasługę u nowej wiary wyznawców. Jenó oszczędzono tu i owdzie to, co się do nowego kultu przystosować dało: świątynię przekształcono na kościół, młodzieńczego Merkurego na św. Sebastjana (Rzym, Marya ropsa Minerwa), z bliźniej siostry Junony (Watykan), dając jej krzyż w rękę zamiast czary, robiono posag św. Heleny. (Rzym. Croce in Gerusalemie). W sarkofagach z tańczącemi dokoła bachantkami, lub uganiającemi się po gaju družkami Artemidy, przykrywszy je wiekiem o chrześcijańskich godłach, chowano kości zmarłych. Zresztą, na olbrzymim rumowisku pogańskiej Romy cheiwość ludzka znajdowała łup o wiele bogatszy. Kamień szedł na wa-

rownie zwieczonych panków, na pałace magnatów, spiż i bronz na dzwony i działa wojenne, na powszedniego użytku sprzęty. Gruzy i opadki utworzyły wzgórze, na których rozrosły się ogrody i winnice. Niezliczone skarby sztuki zapadły w tworzące się dokoła spustoszonej Romy, zarazą ziejące trzęsawisko...

Kędy, gdzie zapadły posagi Ogniokradcy? Jak głęboko leżą? Kto zgadnie? W świtaniu doby nowej zapomniano o nim, o Eschylosie zapomniano, odwrócono się ze wstrętem, od skalanej krwi, upadającej Romy. Św. Augustyn nazwał scenę: „*theatrica lubrica*” (de C. D. I, XXIII, c. XXX № 2) i dopiero w wiele, wiele lat później odrodzenie Teatru zaczęło się znów u ołtarza, u kolebki betleemskiej, z szopką i misteryami.

I istotnie, czemu były najdramatyczniejsze bodaj zmyślenia dla naocznych świadków i aktorów przewrotów wzruszających z posad nie sam już świat zewnętrzny, lecz najgłębsze tajnie ducha ludzkiego? Czem teatralne przedstawienia dla wyczekujących z dnia na dzień grzmotu trąby Archaniola, dnia sądu, z alternatywą mąk wiekuistych lub wiekuistych rajskich rozkoszy? Czem Argonautów wyprawy, lub Persów najazdy, wobec Hunnów najścia, lub hufców różnojęzycznych, ciągnących na krucjaty po ułamek drzewa Świętego Krzyża, po lampę Aladyna, po wschodu haszysze i haremu perły? Czem mórz Jońskich wazkie przesmyki dla żeglarzy, których wiosła po przez oceany nowych szukały wybrzeży? Czem chóry oceanid dla filozofów odmawiających duszy kobiecie, dla cenobitów, których

rozgorączkowana wyobraźnia płodziła na tle pustelni lub samotnej celi, ogniste widziadła? W brzaskach nowej doby, wśród wstrząśnień i porywów, społeczeństwo popadło w trans lęku lub ekstazy i wyobraźnia płodziła na przemian błogie, niebiańskie sielanki, w stylu tych, co kraszą ściany San Marko we Florencyi, grają w fajansach Della Robia, i śpiewają w anielskich zastępach pod pędzlem Fra Angelico; lub chmary demonów, czarownice, pokrak, émiących jawę dzienną. Cała energia zwróciła się ku zwalczaniu tej szarańczy. Scholastyka gubiła się w obliczaniu ilu i jakich demonów obsiąść może jednej szpilki główkę. Najściu tych szkodników bronili się asceci; kobiety wpadały w czarownice histeryę lubieżną a krwawą. Szalały smagane biczem demonów tłumy, mroczyły się émą ich przysłonięte umysły i nawet twórcza artystyczna wyobraźnia, pełną dłonią rzucała je na luków listwy, świątyń gzemsy, stropy, ściany, na brewiarzów marginesy, gromadząc dokumenty i komentarze dla historii zawilości ducha ludzkiego. Pod tej to szarańczy pobudką rozpoczęły się łowy, którei pyszny talent i przedziwna naiwność Tadeo Gadi przyozdobiła kaplicę degli Spagnuoli, w kościele św. Maryi Novella, we Florencyi, a krwawych tych łowów głównym dojeżdżaczem został: Torquemada.

Dla tych, co z samych siebie nie mogli wysnuć rozanielonych lub lękiem rozwichrzonych scen i obrazów, dość ich było dokoła, i jakich jeszcze! w jakim koloryciel! Ostrzyły się zamków ostrołuki, tumów wieże, linie, z których każda kłam zadawała nietylko prostocie klasycznego rzędu, lecz przyrodzo-

nym ciężkości prawom. Czem grecka miara, wierna greckiemu realizmowi, tam, gdzie oderwanie usiłowano wtłoczyć w ramy, ramy te rozsadzając do absurdu nieraz. Gdzieniegdzie, na południu pozostały magistralne rzymskich bazylik zarysy z przezroczystością wiązań romańskich stropów, gdzieindziej Bizancyum rozdzielił baniaste kopuły, gotycyzm rozbił coraz śmielsze, wysmuklejsze ostrołuki.

Przez Borgi i Burgi, place pustynne i zaułki ciasne przeciągały korowody mnichów, rycerzy, pachołków, spis maszty; sztandarów i chorągwi tęczowe żagle; tłoczyły się przy biciu dzwonów kościelne procesye, królewskie wjazdy, rycerskie turnieje. Innym razem Borgi i Burgi wrzały, wicherzyły się od utareczek krwawych, najczęściej bratobójczych, od mordu, pożogi, a gdy krew spłynęła lub zaraza swą bladą chustą wymiotła je i opustoszyła rzędy wysokich, ciemnych domów, pod księżycą srebrnem światłem, lub o zmroku przy mdłym blasku latarni lub jaskrawym pochodni przesuwwały się po nich różne barwy i odmiany cienie zakapturzonych *penitenti*, cichych, tajemniczych, bezimiennych, jak miłosierdzie samo, którzy dziś jeszcze tyle malowniczości i rzewnej poezyi rzucają na włoskich miast ulice ciche i tyle powagi udzielają pogrzebowym orszakom nędzarzy, tam, gdzie śmierć ludzi za- możnych tak wielkim bywa otoczona chłodem.

A pielgrzymów, żebraków, włóczęgów najścia? cyganów obozowiska, alchemików nory, czarownice wieczornice, pręgierze, rusztowania, stosy płonące i wrzeczadze w co wieczór nad każdym zapadają Ghetto. A idylle, kolendy, szopki podobne do malowa-

ných przez Vivarini'ch, takie jakie po dziś dzień ustawiają w zakrystyach kościołów i kościolków, wzdłuż Liguryi błękitnych wybrzeży!

Śród dziwów tych i dziwactw, w długiem, na dziesiątki stuleci przeciągniętem średniowieczu—kłębiły się duchy niespokojne, ale śród nich olbrzymich i świetlanych było na pewno o wiele więcej niż w Grecyi, w jeden harmonijny akord zwartym Peryklesowym okresie, tylko, że rozproszone nie występują jako tamte złotą ławą, lecz przelatują jak wielkie, samotne, szerokie elipsy, na horyzoncie czasów, kreślące komety. Naprzód biegnąc, nowe torując drogi, nie spoglądają po za siebie. Grzebanie się w gruzach bywa oznaką wyczerpania... stokroć szczęśliwie jeśli jest zarazem odrodzeń zapowiedzią. Gdyby nawet myt o Prometeusza ocalał był w rozgromie starożytnego świata, nikt by go w wiekach średnich nie podjął. Ojcowie kościoła budowali gmach nowy, strzegąc jego nienaruszalności. Sekciarze, heretycy, odszczepieńcy, wpadali w burzę walki o byt.

Znikły starożytne bronzы, marmury, znikł doszczętnie cyrk Flawiana, z Koloseum, łaźni Karakali i Tytusa, same zostały gruzy, cóż dziwnego, że butwiały, ginęły przez wichry przygodne i skrybów rozniesione starożytne pergaminy. Benedyktyni na Monte-Casino, wcześniej utworzyli schronienie dla nauki i pracy, lecz ileż elukubracji robiło *tabulae rasa*, bogdaj z Echylosa manuskryptów. Sholastyka zapanowała wszechwładnie do spółki z coraz więcej spaczoną łaciną. Nowożytne języki zaledwie się wyłaniały z ludowej gwary. Jeden z najwię-

kszych we wszech czasie poetów, Franciszek z Asyżu, ulaskawiał wilka z Gubio, słowem miłości hipnotyzował jaskółki lotne i rybki chyże, z bratniem słowem zwracał się tak do słońca na niebie, jak do śmierci w kostnicy, panteista, w najwznioślejszej wszechmiłości rozumieniu, któremu Włochy zawdzięczają, że, uniknąwszy wstrząśnięć reformacyi, przebudziły się w odrodzeń uśmiechu, ten nie myślał o Ogniodawcy! W Hiszpanii Płomienna Teresa z Awilu u stóp Krzyża boskiego swego oblubieńca „konała z żalu, że umrzeć nie może; a na jej Głosę nie zdobyła by się żadna Safona. Mądra córa farbiarza z Sienny zażegnywała grożącą w samej stolicy apostolskiej schyzmę. A Dante? Małoż miał gwelfów i gibelinów, co mu tam do zatargów Zeusa z tytanami. Sam tytan stąpał z Wirgilim w podwoje na których stoi wypisano „lasciate ogni z peranza“, a z Beatryczą chadzał po niebios jasności. Trubadurowie gęśl nastroili na wyłącznie erotyczną lecz od będącej dziś znów w obiegu, o wiele zdrowszą, chociaż nieraz jaskawą nader nutę. Bajard opiewał miłość i rycerskość w średnich wieków rozumieniu i oświeceniu. Opiewali ją Ariost i Torquato Tasso. Było tam dużo piękności lecz i sztuczności coraz więcej. Ludzkość, odkąd skonał Pan grecki, wzięła rozbrat z prostotą i przyrodą: na świecie całym nie stało miejsca dla Prometeja.

Błąkał się, przypadł do stóp Kaukazu, tułając się w porwanych gadkach i nie świadomych pochodzenia swego obyczajach górali. Niektóre Kaukazkie plemiona, jak to opowiada Filostrates, tępią po dziś dzień orły, mszcząc się za dobrego obra, na

którego cześć rozpalają w górach ognie, nie umiając przy tem go nazwać. Śród plemienia Ossetów ¹⁾, istnieje podanie o pasterzu imieniem Bosso, co, raz zabłądziwszy z trzodą swą w górach usłyszał wychodzące z głębokiej pieczary jęki. Rozchyliwszy chrusty, ujrzał cudnej urody młodzieńca przykutego do skały. Dokoła skrzyły się stosy drogich kruszców i kamieni. Młodzian obiecał oddać mu wszystko to za kawałek, za jeden żelaza, tyle, ile potrzeba na pierścieni kilka, coby przedłużyły zwisające z góry łańcuch i dozwoliły jeńcowi wydostać się z niewoli. Przytem prosił pasterza, by mu pomógł zabić szarpiącego mu łono jastrzębia. Odtąd Bosso chodził jak senny, jak zakłęty, zbierał kawałki starego żelastwa, kuł coś i majstrował w nocy lecz podpatrzyli go sąsiedzi, poszli za nim pokryjomu ku skale, to uniemożliwiło przedsięwzięcie i gdy się ludzie zbliżyli do pieczary, rozległ się huk straszny, zapadła w niezgłębioną przepaść wraz z przykutym w niej młodzianem, złotem, srebrem, brylantami. Scenerya, a zwłaszcza rozwiązanie tej legendy, zdaje się żywcem wzięte z „Prometeusza w Okowach” Eschylosa.

Innej Kaukazkiej baśni, należącej do tegoż cyklu, bohater nosi imię Amiram i strzeżony jest od wieków przez psa wiernego, co mu liże rany i dawno by przegryzł okowy, gdyby nie bicie młotów wkowadła, w sam wielki czwartek. Głupi a chciwi gruzińscy kowale, niewiedzą jaką krzywdę tem czynią

¹⁾ Spisanie legendy tej, z ustnych podań, zawdzięczam uprzejmości p. Fran. Godlewskiego.

dobremu Amiram. Stukiem rozbudzony pyta on co wiosnę swych stróży czy na ziemi rosną jeszcze trzciny, czy się paszą białe jagnięta? Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź rok rocznie poczyną się miotać, wówczas drży Jaltas — miejscowa nazwa Elbrusu — syczą wezbrane górskie potoki, spadają i pięttrzą się lawiny.

I tu mamy echa z Grecyi: trzcinę, jagnięta, o których mięsa i kości zaszedł był pierwszy między Ogniokradcą i Zeusem spór w Sycjonie. Obok tego ile rdzennej, kaukazkiej fantazyi w tem obrazowaniu budzenia się wiosny w górach, w tych stosach srebra, złota, brylantów, od których więcej warta dobra żelazna klinga, w tem odrętwiałym długiem więzieniu, od czasu do czasu przebudzającym się bohaterze.

Naleciałości greckie są nieuniknione u stóp Elbrusu oddzielającego Mingrelję od Azji małej, lecz zkądże by znów przerzucić się miały na Bałtyku wybrzeża? Milczy o filyacyi p. E. Vekenstedt, bając o Ugniekaz’ie i Ugniewas’ie braciach kowalach w żmudzkiej baśni, o wulkanach i tem podobnych dziwolągach, których, wedle znawcy biegłego tych rzeczy, p. J. Karłowicza, zapewnień, lud żmudzki wcale nie zna i które wylęgły w bujnej wyobraźni niemieckiego etnologa (*Die mythen Sagen der Zammotten*). Lokalniejszym już kolorytem odznacza się przytoczone przez tegoż podanie o orle, co, na proźbę dyabła ukradłszy ogień z nieba, przenosząc skarb do piekła, uronił zeń iskrę na ziemię. Zupełnie już śliczną i lokalną jest legenda „o Jezusie,

Panu naszym, co, chadzając po lesie, z dwóch gałązek suchego drzewa ogień krzesal". W wyobraźni pobożnego litewskiego ludu, zamieszkującego do niedawna głębokie bory, nie naturalniejszego jak podobne przekształcenie Aryjskiej Pramathy. Tyle się mówi i pisze o aryjskiem pochodzeniu Litwinów.

VII.

Przechowany tu i owdzie w ludowej gadce Prometej w coraz głębsze zapadał zapomnienie. Nawet włoskie odrodzenie nie strzęsło żeń grobowego pyłu. Rozmach odrodzenia powstrzymanym został przez Sawonarolę. Gdzieindziej rozbił się o Lutra i Melanctona, o Kalwina i Purytanów, wojny trzydziesto i siedmio letnie, z całym szeregiem klęsk i wyludnień. Milton zapatrzył się w „Raj utracony, mimowolne poetyczne sympatye do księcia ciemności, trzymając na wodzy prawomyślności". Bohaterowie Szekspira, chociaż nie są jak im to ktoś zarzuca ¹⁾, tylko poprzebieranymi w różne szaty dworzaninami Elżbiety, lecz bliżsi są personelu Eurypidesa niż Eschylosa. W XVI stuleciu Calderon zawadził o Prometeja sztuką „*La estatuta de Prometeo*", opiewającą zwycięstwo ducha nad zmysłami.

¹⁾ Posnet.

Dziękować Bogu, że Francuzi z wieku Ludwików, ze swemi apokryfami klasycyzmu nie dorwali się do Ogniodawcy. Przebraliby go na swój sposób, ufryzowałiby, uperfumowali. Sama istota geniusza Francuzów, tak dalece odskakuje od wzorów Eschylosa, że się Francuzi nigdy na nich nie poznali. Bystry Voltaire nazywa ojca tragedii greckiej: fabrykantem sztuk barbarzyńskich, „*des pièces barbares*“ (Dic. ph. art. dram.) Taki marny Dacier Prometejadę nazywa dramatycznym potworem. La Harpe odmawia jej nazwy tragedii, a Fontenelle nazywa Eschylosa waryatem. Denloustier („*Lettres à Emilie*“), traktuje Prometeja z właściwą madrygalitom ckliwością, a Deimaset („*La vérité des fables*“), nader po francusku wywodzi zatarg Ognio-kradcy z Jowiszem, z miłosnych o Pandorę zabiegów. Barthelemy („*Pog. du jeu. Anastar. en Grèce*“), nader oględny w pochwałach, a gdy Lafranc de Pompignan, nieudolnie przekłada, a jeszcze nieudolniej naśladuje Eschylosa, mamy uczucie, że podjął się jego apologii jedynie na złość nienawidzianemu przez się Wolterowi. Sam współczesny już nam, Paul de St. Victor o wiele lepiej rozumie Eurypidesa niż Eschylosa.

Bardzo ciekawym przyczyńkiem do schyłku zeszłego wieku i do bibliografii Prometeusza jest mało znany satyrystyczny - humorystyczny utwór Niemcewicza ¹⁾. Prometej kreślony tak, jak gdyby

¹⁾ Poznałem go dzięki uprzejmości ś. p. pr. Przytorowskiego, który przed laty pozwolił mi robić wypisy z rękopismu, znajdującego się w bibliotece hr. Zamoyskich, w Warszawie.

mu na wzór służył Stanisław August lub na przemian szlachta polska *in gremio*. Książątko to, arystokrata z rodu i zamilowania, sybaryta i rzekomo politycznych swobód zwolennik. Wie, że „chlubniej i bezpieczniej z władzą określoną rządzić narodem światłym, niż trzodą spodloną“, lecz rządy sprawuje opieszale, dni i noce trawiąc na hulankach i pisanii miłosnych, nader udułych listów do przeróżnych boginek. Czasem bierze się do dyletanckiej pracy. Ulepi, bywało, książątko jakie z chińskiej porcelany lub dla położenia tamy szerzącym się po świecie bólowi i uciskom proponuje ludzi zmienić w zwierzęta, co by im ugięło twardego karku. Ku temuż celowi może doprowadzić wypędzenie dzieci ze szkół, tem bardziej, że nauka jest przywilejem stanu, przyrodzonym, dziedzicznym w społeczeństwie gdzie noworodki mistrzują i głoszą.... „podniósłszy oczęta: oprócz nas, reszta świata jest przeklęta!“ — Dziwny ów Prometej, rozmachując karmazynowemi wylotami brnie co raz dalej, aż tam, gdzie by się zdawało, że karmazyn zabrnąć nie potrafi, gdzie miejsce z wiekowej niedoli zrodzonych, służalczych duchów. I dziwny ów, a może proroczy pod suknią arlekina Prometej, uznaje wyższość mocy fizycznej nad siłę moralną. Chwali się „talentem Canoidy“, a klunie i łaje po słowiańsku i ze słowiańskim: „jakoś to będzie“ zasypia sobie wygodnie na kanapie, rządy państwa powierzwszy tymczasem trzyletniemu dygnitarzowi z dziedzictwa i przyrodzenia.

Ściąganie Ogniodawcy z eschylesowych szczytów na padoły politycznej satyry, chociaż miało precedens w Arystofaniesie, trąci złym smakiem, lecz

twórca „Powrotu Posła” i „Śpiewów historycznych” znajdował się w położeniu, którego aktualność przeważa i przeważać winna wszelkie inne względy, a zwłaszcza estetycznej tylko natury. Najszczytniejsze bodaj oderwania odpadają jako szata zwietrzała przy dojmującej konkretności bólu. Zresztą satyra Niemcewicz nie ma zgola juvenalistycznego zakroju. Juwenalis smagał zdrożną, lecz jeszcze silną Romeę, Niemcewicz usiłuje jak może i jak umie ratować potykającą się srodze, ale też srodze wycieńczoną ojczyznę.

Wróćmy do Eschylosa. Dopiero w 1814 r., pani Necker de Saumure dała go poznać Francuzom, tłumacząc na język francuski wykłady o dramacie greckim, jakie Aug. Wilh. Schlegel miewał w 1801 r. w Berlinie, a w 1808 roku w Wiedniu. Wiek XIX posiadał klucz do rozwiązania Prometejowej zagadki i Eschylos, — jak to słusznie mówi Kaz. Kaszewski — stał się nam bliższym, niż był Arystotelesowi. Wskreszenie to przygotowanem zostało przez filozoficzne i humanitarne przewroty XVIII-go stulecia. Göthe dał hasło. Młodzieńcowi w 1774 r. („Z mego życia i wspomnień”) śniły się same Tytany. Rozpoczął był dramat, doprowadzony zaledwie do aktu trzeciego, którego bohaterem był Prometeusz. Z pomocą Minerwy grecki kunstmistrz tworzył i ożywiał trzecią, doskonalszą dynastję ludzi, za co mu bogowie ofiarowali miejsce na Olimpie, lecz Prometej gardzi łaską bogów, tu, na ziemi, czuje się im równy. — „O Jowiszu! — woła — spójrz na me twory! Żyj! Uczyniłem je na obraz i podobieństwo własne, na cierpienia, łzy, radości i naukę *gardzić* tobą, jak sam *gardzę*”.

Takie wtargnięcie człowieka w przedziały, bóstwu należne, musi wywołać tragiczną kolizję. Myśl przewodnią niedokończonego dramatu Göthe rozwinął później w artystycznie skończonym „Fauscie”, a krytyka niemiecka zauważyła, że pierwsze próby „Fausta” pisane są tym samym wierszem, co ów niedokończony dramat, pełen zresztą retorycznego pedantyzmu w znanych nam ułamkach. W młodzieńczym utworze Göthego teza krępuje wzlot poetyczny. Prometej stworzył ludzi nie do arkadyjskiej szczęśliwości, lecz na łzy i pracę, na skąpą radość. Wie, że bogowie, aczkolwiek silni, nie zdołają mu wydrzeć tego, co raz doścignął i posiadał, lecz w zwątpiałej swej świadomości zdobyczom swym zakreśla krąg ciasny, nazbyt ciasny, taki „ni mniej ni więcej, na jaki kto się zdobyć zdoła”. Hasło, pod którym podpisaliby się Fourier i Saint Simon.

Fragment z Prometeusza Göthego, pisany w 1774 r., a drukowany po raz pierwszy dopiero w 1830 r. przyswoił piśmiennictwu naszemu Jenike. Zasadniczą, jak widzimy, różnicę, pomiędzy nowo-wskrzeszonym Prometejem, a dawnym, greckim, stanowi to, że gdy tamtem przy przedsięwzięciu swem nie zaznał był bólu ni zwątpienia, a nawet obalony przez Przemoc, skępowany, umęczony nie tracił ufności w przyszłość, ufności nieoddzielnej od samej istoty wszelakiej twórczości, nowożytny od razu nie dowierza własnemu dziełu, wątpi o celowości łożonych ofiar, nie cieszy się rzuconym posiewem, a w sercach, które aż z niebios ściągnięta iskrą prześwieca, dostrzega „gnuśność, skąpstwo, okrucieństwo”. Zmartwychwstał grecki ogniokrad-

ca, ale podszyty Faustem, Manfredem, Kaimem omal Reneuszem. Zgorzkniały, pozwolił, by wydartą niebiosom iskrę przysłoniły grubego dymu obłoki. Takim, z wyjątkiem jednego, jedyne „Prometeusza” Shelley’a, błakać się będzie przez całe XIX stulecie.—Ha! ciężkiem-bo doświadczeniem zaciężyły nad ludzkością stulecia ubiegłe od pogodnej, greckiej wiosny. Inna, odmienna od tamtej, koncepcja życia i śmierci, przemian i wieczności, ba, nawet piękna, wyłoniła się z po za chmur dni ubiegłych, wśród mgławic niepewnych jeszcze świtań. Nówozytny Prometej powitał wiek XIX-ty rozczerowanym smętkiem Werterów, Manfredów, Kaimów, Namuny. Poprzednik to Fausta i w młodocianym ułamku kałać trzeba zawiązki u tezy, którą Göthe rozwinął w Fauście. I ten, ujęty w okowy materii, przestrzeni, czasu, przyrody, wydziera się ku nieograniczoności, myśli lotem, pragnień parciem. Zwarte koło powszedniości dobre dla jakichś tam homunkulusów, „Przyrodnim ludziom” za ciasne sfery ziemi i nieba. Hasło dane. Ludzkość winna do lotu rozwijać skrzydła, ale też bez uzdy puszczone indywidualizm łącono się zbłąka na górnych szlakach, Nietzsche wymyślił wprowadzić na schyłku stulecia „nadezłowieka”, lecz tłum jego epigonów—pigmejów, ściągnie egotyczny wymysł do rozmiaru sztucznych homunkulusów.

Byron w 1804 r., mając zaledwie lat szesnaście, w ślicznym Anakreontyku („Great Jove”) po tracił o Prometeusza, a w dziesięć lat potem, stojąc u zenitu swej twórczości rzucił na ołtarz Ogniodawcy jeden z piękniejszych swych poetyckich kwiatów. Poeta, dla którego istota ludzka jest częst-

ką boskości: „Man is a part of divine”, strumieniem zmaconym nieraz, lecz zawsze wypływającym z czystego źródła: „a troubled stream of a pure source”, opiewa nie analizuje Ogniodawcę, zbrodnię jego nazywa godną bóstwa „a godlike crime”, a śmierć zwycięstwem „death a victory”.

Misceytyzm i reakcja posługują się Prometeuszem jako poprzednikiem Mesjasza. Koncepcja ta kielkowała już w XVII-ym stuleciu. Spotykamy ją w „History of philosophy” Anglika Stanley’a, u Niemca Fabrycysza (w 1668 roku), a mitolog francuski Banier o sto przeszło lat wyprzedza Józefa de Maistre, który w „wieczorach Petersburskich” wita w greckim Prometeju tego, co „gotuje ścieżki Pańskie”. Nawet subtelny bardzo krytyk Philaret de Charle¹⁾ ostrzega przed przesadą tego kierunku, a Lacerdais z kazalnicy w Notre Dame woła: „Faut-il que l’homme escalade le ciel pour lui arracher le feu sacré”. Odnowiciel zakonu Dominikanów, dawny, lecz zmieniony bardzo przyjaciel księdza Lamennis uwierzył, że iskra święta złąską tylko spływa i inaczej zdobyć się nie daje.

Jakim byłby „Prometeusz” Mickiewicza, przesądzać trudno. Odynieć zapewniał, że znana powszechnie improwizacja wypływała początkowo z ust Ogniodawcy. Inne od greckich ognie rozpały się w duszy Adama, konkretnością swą rozrodziły piersi Konrada.

Mesyanizm został tłem, na którym romantycy francuscy: Enault, Medar i Quinet, rozświecali Pro-

¹⁾ „Voyage d’un critique à travers la vie et les livres”.

meteusza. Utwory to nieudolne, chybione artystycznie jak wszystko, w czem retoryka przeważa, bo retoryka wedle trafnego orzeczenia Feuillet'a jest w twórczości literackiej tem, czem byłoby w muzyce rezonowanie o mechanizmie instrumentacji przy wykonaniu melodyjnej arii. Chyba tryologia Quinet'a zasługuje na uwagę, nieprzez wartość literacką, lecz ze względu na filozoficzne stanowisko, zajęte w pierwszej połowie XIX stulecia przez autora: „Ahaswerusa”, „Napoleona” i „Prometeusza”. Przed niedawnymi wreszcie laty, zasłużony tłumacz „Pana Tadeusza” na język niemiecki, Lipiner, wystąpił z poematem „Der entfesselte Prometheus”, w którym, w sposób zawily, przy przeciążeniu symbolami, zestawia Prometeja z Chrystusem, stawia go wreszcie oko w oko ze Zbawicielem, co doń wyciąga ramiona, wita w nim swego poprzednika, i mówi mu, że wszystko złe powstało na świecie z iskry, którą Prometej wykradł był dla ludzi, gdyż iskra ta ziemską była, a teraz wiekowe dzieło rozpocząć trzeba na nowo, by rozpaść nad ludzkością światło, co ją nauczy błagać o cierpienie, jako o najwyższe dobro: „Weltfreude”.

Nie wehodząc w głąb niebezpieczeństwa, jakie płodzi mistycyzm podobny, głoszony przez tak szczyrych i wielkich swych adeptów, jak Dostojewski i Tolstoj, pomijając to, do czego doprowadza pod piórem Huyismiana, Mirbeau, i ich u nas epigonów, z Przybyszewskim na czele, że cierpienie samo w sobie nie może być ani szczęściem „Weltfreude”, ani celem ludzkości. Chrystus cierpiał i umarł na krzyżu, lecz dla zapewnienia nam zbawienia i wiekuis-

tej szczęśliwości. Prometej, prawy, grecki Prometej, przyniósł ludzkości iskrę nie tylko ziemską, lecz i tę, co rozświeca, a oświecając podnosi aż do stóp krzyża na Golgocie, to jest do ofiarności, do okupienia cierpieniem i poświęceniem dobra i szczęścia ogółu.

Nie mistycznym już bynajmniej, lecz nawskroś modernistycznym jest Prometeusz pani Ackerman, już nie tytan, lecz „marna garść ziemi”, zbolący, zmiażdżony człowiek w okowach, lecz człowiek, co w samym sobie przechowuje boską miarę, szalę, na której zdolen jest ważyć: gniot i zwycięstwo“. Nawet zmiażdżony przez gniot przemocy człowiek może i powinien pozostać niezwykłym. Nie w tem też znaczeniu modernistycznym jest Prometeusz pani Ackerman. Takim już był bohater greckiej bajki, modernizm tkwi w żalu, co go trawi, że iskrę niebiańską zatopił w „glinie ciemnej“. Grecki Prometej po to iskrę tę wykradał, by nią tę glinę rozświecić i nad dziełem swem nie biada, owszem chwali się niem przed Ijoną, oceanidami, poniekąd przed Hermesem, którego traktuje tak lekceważąco, gdyż go przerasta, nie tylko dojrzałością, lecz i zasługą. Wyegzaltowane poczucie niezgodności istniejącej pomiędzy materią a duchem, skończonością i ułomnością tej materii wobec—pozornej zresztą—nieograniczoności ducha; nadmierny a rozpierzchły, na jednym, jedynym celu nie kończący się wzlot pragnień, tęsknot myśli naszych, raz wraz rozbijających się o skończoność materii i mnogie, dotąd jeszcze niezbadane tajemnice przyrody, są cechą modernizmu, rozdźwiękiem nieznanym w Grecyi, gdzie przedziwna równowaga ducha z materią sta-

nowiła rdzeń etyki, filozofii, twórczej siły, życia. Nowożytny pesymizm pochodzi z nadmiernego wywyższenia ducha nad materią.

I Marya Konopnicka traktuje Prometeusza w sposób zupełnie nowożytny i oryginalny, w utworze zatytułowanym „Prometeusz i Syzyf”. I tu zachwianą została równowaga, lecz już nie tylko pomiędzy duchem a materią, a pomiędzy motorami poruszającymi kierującą wolę i kierowaną przez nią bryłę. Z zagadnień filozoficznej natury zstępujemy na pole walki społecznej, w piekło tych palących kwestyi, co są „przekleństwem rozbratu pomiędzy przepaścią a szczytem”.

Zkąd pochodzi ów rozbrat przeklęty? Ztąd zapewne, że „z góry nigdy dobrze nie widać co się dzieje w dole.” Ale i ztąd, że patrzącemu z dołu głowa mędrca zdaje się „gorczycznem ziarnem”, ramię tytana „gałązką wikliny” a natomiast strzępy jego rozwianego płaszcza „orlemy skrzydły”.

Złudzenie powszednie ale fatalne jak one głosy, co choć biegną ku sobie nie zdolne są porozumieć i związać szczyty z przepaścią. Jest wprawdzie coś, co może wyrównać te różnice—nauka tak wzniosła, że się boską zowie. Jest coś, co przepaść najgłębszą wypełnić może—ogrom miłości! Ale stojący na szczytach mocarze ducha i myśli, na pracujące w kamieniołomach Syzyfy wołają imieniem brata wówczas dopiero, gdy potrzebują ich potężnych ramion, ramiona te nowymi ciężarami wnet obciążać gotowi. Można się dziwić, że na nawoływania Syzyfy głuche pozostają?

I więcej jeszcze. Rzecz można, że pomiędzy

jednemi a drugimi przyrodzone istnieją różnice. Tych ziemia poczęła i więzi w swej głębi, tamci od bogów wywodzą genezę, po iskrę niebiańską sięgają, krwią ją opłacić gotowi. Co Syzyfom pogrążonym w podziemnych ciemnościach, z tych palących się tam, gdzieś wysoko blasków? Nie widzą słońca, srebrnej nie widzą Selene. Silni a istotę tej siły stanowi nie tak moc muskularnego ramienia, jak przedziwna cierpliwość, z jaką wykonywają mozolną, niewdzięczną pracę, powszedniej sobie nie uważając bynajmniej za karę, lecz za codzienne, nieuniknione zadanie, spełniane bez pośpiechu, machinalnie, bez krzty zapалу, ale też bez rozkładowej przymieszki tęsknot za czemś niepochwytne, pragnień zmiany i nowości. Zwłaszcza Syzyfy nie wpadają nigdy w deklamacye czezej frazeologii jak to się zdarza bogdaj Prometeuszom. Ot i tam przedstawiciel szczytów wpada w dyskusję z „otchłanią” a dyskutuje tak, jak gdyby mu szło więcej o barwne słowo i dźwięczny okres jak o rzecz samą. Nie ma w nim krzty tej miłości, co zgłębia otchłani samą. Po zarzewie z nieba sięgnął porwany fantazją bujną raczej, niż przekonaniem, że czyn to potrzebny, niezbędny. Słońcem olśniony pomiała „nie widzącami jasno” Syzyfami i stając nad ślepą otchłanią podobniejszy do pyszałkowatego Hermesa, niż do swego prototypu. Samym sobą zaprzątnięty zastrzega sobie z góry stanowisko „odnowiciela,” „objawiciela” i trudno wierzyć, by mógł „świecić w męce” gdy się wzdryga, siłąc na dowcip: „Brr! jakem się nudził! Ta skała, wichry, więzy a potem płacz Oceanid... Istoty żeńskie, wodniste... la-

ment fal od rana do nocy. Zginałbym z nudów gdyby nie sęp... ten mię rozrywał“.

Dowcip nieco „macabre“ w ustach bohatera, któremu zresztą braknie potrzebnego bohaterowi spokoju, a co zatem idzie siły. Tego cechują nawskroś nowożytnie: nagłość, rozdwojenie, chępliwość nie z dokonanych lecz hej, precz, tam, gdzieś mających się spełnić czynów i to że w jego ofiarności więcej jest zwątpienia i rozpacz, niż współczucia i świadomego sił swych i celów bohaterstwa. Pesymizm nowożytny ściągnął go z eschylesowych wyżyn. Wprawdzie pod piórem Konopnickiej nie mógł zmaleć do rozmiarów „rozdawacza jasełkowych świeczek“, lecz uronił wiele z dawnej swej wielkości. Grecki bohater był zaklętym w Obra czynem, nowożytny przedzierzgnął się w doktrynera.

W utworze Konopnickiej Syzyf znów nie nie traci na przystosowaniu doń nowożytnej miary. W jego ciężkiej a niewdzięcznej pracy, cichej cierpliwości, w głuchocie samej tkwi dramatyczność o wiele szersza i głębsza, niż w Prometeju, co choć krwawym bojem, lecz zdobył przecie to, czego pragnął. Pograżonego w otchłani, ciężarem trudu bez jutra przywalonego Syzyfa, oblały humanitarne prądy naszych czasów, których tak wymownym i poetycznym rzecznikiem jest Marya Konopnicka.

Prądy to te, jak już wiemy, zbudziły ogniodawcę z długiego uśpienia! Już nań wołały odrodzenie i reformacja, Cromwel, encyklopedyści, rewolucja, budzenie się powszechne narodowej samowiedzy i odrębności. Do potężnych tych nawoływań przyłączyły się ostatecznie filologia i ar-

cheologia, wykopaliska, wzorowe przekłady Greków i studia nad nimi, łatwość poznawania naocznie dzieł sztuki. Wszystko to składało się na przywrócenie bohaterowi Eschylosa dawnych jego blasków. Nie podolałyby jednak zadaniu powyżej, pobieżnie zresztą bardzo, przytaczane przykłady: fragmenty, indywidualizmu, to jest żywotności artystycznej pozbawione retoryczne figury lub poetyczne czy filozoficzne wynurzenia, których Prometej jest pretekstem raczej, niż przedmiotem, pomysły nie wcielone w doskonałe artystyczne formy, gdyby Shelley nie był stworzył „Prometeusza Rozpętanego“, co, odmienny duchem, koncepcją i formą, dościga wielkością dzieła Eschylosa, nie idzie bowiem o to, by Eschylosa miara naszą była miarą, lecz o to, by własna, nasza, współczesna rodzina, że tak rzec można, była wierną, pełną, doskonałą.

VIII.

Zanim jednak przystąpię do dzieła Shelley'a, musimy rzucić okiem na wcielenie Prometeusza w sztukę plastyczną. Myt prometejowy ma to do siebie — a stwierdza to właśnie niepożyta jego żywotność — że się doń odwoływali nie sami poeci lecz malarze, rzeźbiarze.... ba! astronomowie, geografy, alchemicy, muzycy! Halevy wplątał go w chybione zresztą, usiłowanie wskrzeszenia greckiej mełopei. Dziwne! Pomimo usiłowań wielu, bohater nasz nie drgnął nieśmiertelnem życiem pod pędzlem żadnego malarza, i—aż do ostatnich czasów, żadne przedmioty godne dłuta, nie postawiło go na odpowiednim cokule. Ha! Plastyce stanął na przeszkodzie eschylosowy właśnie moment dramatu: Kaukaz, więzy, sęp, kaźń nadludzka i— nie estetyczna. Efekt wywoływany w sztuce wzruszeniem bólu fizycznego jest zawsze chybionym estetycznie efektem, chyba, że ból fizyczny osłania, odrywa odeń idealna podniosłość i piękność, ta, co pozwala podziwiać nam Golgoty i męczenników szeregi. Wstręt wywołują

traktowane realizmem pocztę męczenników w San Stefano Rofondo (Rzym), Seneka (Carravagio'a), kąpiący się we krwi (Rzym, palazzo Cossini) św. Agata (tamże), wyciągająca do widza obcęgi z wyrwanym zębem, św. Agnieszka (Rzym, akadem. św. Łukasza), podnosząca na półmisku obciętych swych piersi krwawe owoce. Obraz greckiego Ogniokradcy zbyt często bywał przysłonięty jego kaźni grozą. Poradziłby z tem sobie może Buonarrotti, mógłby greckiego tytana postawić obok Mojżesza, męża olbrzyma i Dawida olbrzyma pacholę (Florecya). Z pod pendzla Lionarda Prometej przemówiłby do nas wyrazem zastygłym na z siniałych ustach Gorgony (Florecya, Uffizzi) lub zagadkowym uśmiechem Dijonyzosa (Paryż, Luwr), Mantagna i Crivelli, kazali by mu krzyżeć z bólu. Próbowali go malować Tizian i Rubens, prób tych nie wciągając w rachunki swych areydział.

Rzym ¹⁾ posiada obraz przeceniony niegdyś, niedoceniony obecnie, mający właściwości pendzla Salvatora Rosa. Od brunatnej ostrej skały, od cieni rzuconych niepomiernie długimi skrzydłami sępa, odbija skrawek wieczornego nieba i ciało olbrzyma gorące w kolorycie, śmiałe w skróceniu. Prężą się mięśnie ramion i wpartych w skałę goleni, skowana pięść się zaciska, wygraża; ból srogi, fizyczny wykrzywia rysy skazańca. Pomimo piękności

¹⁾ W 1894 r. był w Palazzo Corsini. W 1899 r. nie zastałam go tam. Przy połączeniu zbiorów Sahiasa, Torlonia, Monte de Rieto, czekając na uporządkowanie pałacu Corsini, usunięto czasowo wiele dzieł pierwszorzędnej wartości.

pewnych—jak u stóp skazańca, odtrącona, w dymy spowita, gasnąca pochodnia—całość budzi niesmak twardą brutalnością.

Podobny w układzie, jak zwykle w robotach *fa Presto*, zaniedbany w rysunku lecz bardzo ciepły w kolorystyce jest obraz Giordana, w Akademii wiedeńskiej, a na Kapitolu w Rzymie nie wielki, bezimienny, o ile z kolorytu sądzić wolno twór szkoły weneckiej, obrazek szlachetniejszy w kompozycji. Sęp nadlatuje, Prometej spoczął na zaraniu, gdy odbłysek jutrzeńki błąka się w fałdach różowej, dolną część ciała skazańca owijającej szaty. W Paryżu dzieło d'Aligny, przeniesione do Luwru, nie przekracza granic komunału, a w najciemniejszym kącie w najciemniejszej ze źle oświetlonych sal Brera, w Medyolanie, udało mi się odkryć obraz niejakiego Mariani. Sztuka nie straciłaby na tem gdyby ten Prometeusz nie był nigdy malowany. Mamże powiedzieć toż samo o obrazie Ribera (Warszawa, zbiory Cypr. Lachnickiego). Właściwe hiszpańskiemu malarzowi: twardość, przeciwnie cienie, uwydatniają brutalność kompozycji, a w czerwonej jak pod szminką, karykaturalnie wykrzywionej, trywialnej twarzy trudno znaleźć coś pokrewnego z kochankiem Oceanid, przepięknym bohaterem Eschylosa.

Najszlachetniejszym niewątpliwie współczesny Prometeusz G. Moreau. Mamy tu wprawdzie tradycyjną skalę i łono skazańca szarpiącego sępa, lecz Tytan widziany z profilu, zapatrzony w dalekie światło, w rozlewającą się po morzu światłość, zapomniał o szarpiącym mu łono bólu, w męczeństwie dostojny, w Chrystusowym profilu i napięciu wzro-

ku posiada całą przedziwną intensywność myśli i uczucia jakim się odznacza Moreau, jaką podziwiamy w jego Sfinksie.

W dekoracyjnem malarstwie Hanibal Carroci, zapewnił Prometeuszowi w Rzymie, (Palazzo Farnese), poczesne miejsce. W jednym z medaljonów, zdobiących fryz pysznej sali, bohater nasz przygląda się swemu dziełu, ludzkiej postaci, w drugim opadają zeń okowy rwane potężną dłonią Heraklesa. Dziś zwiędły blaski sali „Odoardo”, lecz zamieszkujące ją bogi żyją nieśmiertelną pięknnością.

Marny za to, ów brodacz pompatyczny co pod mianem Prometeusza, dłoń w dłoni z Minerwą, na suficie jednej sali w pałacu Pitti (Florecya) kroczy przy tryumfalnym wozie Heliosa, u którego kół zapala swą pochodnię. Pomysł nowożytnego dekoratora: Collignon. W śmiałem skróceniu, głową w dół, ukazuje się nam tytan nadebrzwiąmi jednego z ładnych gabinetów Palazzo reale, w Genui. Fresk zdobiący schodową klatkę w niedawno powstałym muzeum w Tyflisie, zdaje się być zmiekczoną parafrazą płótna Salvatora Rosa, z dodatkiem efektownych i lirycznych Oceanid, wyłaniających się z wzburzonych fal morskich.

Na fryzie Muzeum w Berlinie, co tak dosadnie przedrażnia Grecyę wśród mieszczańskiego i do niepoznania zniemczonego Olimpu, obok jakiejś *mädchen*, udającej Minerwę, godny muzy z piwowni *jankes*, udaje Prometeusza. Oboje, niby para tużonych wróbli, przykucają na jakiejś bajecznej girlandzie kwiecia, ciężkiej, jak sam Berlin. Lecz najdziwniej już grecki Ogniodawca objawił się Over-

beck'owi, z którym metafizyka wtargnęła była do malarstwa, a freski z Gliptoteki monachijskiej zostały zwiędłymi w zarodku swem liśćmi w wieńcu sławy religijnego lecz zimnego Overbeck'a. Tu Prometej stwarza *sam siebie*. Możeż posunąć się dalej absurd symbolizmu w służbie metafizyki? Warte to tyle, co słynne przymknięte *was ist das*, gdy gwoli mieszczańskim niemieckim wyobrażeniom symbolizuje powietrze, jako element. Podobne symbolizowanie zadowolni jeno Niemca i to nie każdego. Wszak Breughel, „aksamitnym zwany w swoich czterech elementach“ (Rzym, palazzo Doria), wszystko co barwą jest i przezroczem, skrzydłem i lekkością zaklął w paru calach płótna, gdy symbolizował „powietrze“.

Jeśli eschylosowy moment tak źle oddziałał na traktowanie Prometeusza w malarstwie, to cóż już mówić o rzeźbie?

Ból najsroższy, sytuacja najdramatyczniejsza mają mniej właściwy sobie wyraz, z którymi okowy, skały, krwiożercze, żywe łono szarpiące sępy nie mają nic wspólnego.

Strzał Apolina nie widać przy tulącej do stóp jej przypadłe dziecko, niobidów matce. Nie krwawią się rany ani konającego Gala, ani neapolitańskich amazonek.

Śmierć sama dłoń lodowatą położyła na przepięknej masce konającego Aleksandra, (Florencya, Uffizi). Ileż i jakiej dramatyczności w uśpionej, u stóp „Pensieroso“ Nocy, (Florencya S. Lorenzo) ile w salutującym Cezara Gladiatorze Welońskiego! Razi ekstaza świętej Teresy (Rzym, Marya della Vitoria)

Bernin'a a tegoż Dafne zmieniająca się w krzew wawrzynu w objęciu Apolina gwałci zasadnicze reguły snycerstwa. Tymczasem, od schyłku zeszłego stulecia, gdy tylko była mowa o Prometeju, rzeźbiarze porywali się na odtwarzanie sceny na Kaukazie. Niezmiennie z sępem i na Kaukazie. W 1762 r., akademia paryska nagradza złotym medalem grupę marmurową, która dopiero znajduje się w oddziale nowożytniej rzeźby w Luwrze, przedstawiająca, w zredukowanych rozmiarach, dramat Eschylosa, z dodatkiem sępa, którego Eschylos na scenę nie wprowadził. Słusznie bardzo Diderot wychwala anatomiczną dokładność tej roboty, pisząc o tem do Grimm'a, pozostawia kompetencji oprawcy „l'executeur des hautes oeuvres“, odmawiając rzeczy samej nazwę dzieła sztuki. Uwieńczony autor Adam nie wybił się nigdy z szablonu miernego dekoratora. Ten sam charakter nosi grupa Müller'a w Berlinie, chociaż tu Prometej jest szlachetniejszy, nie wyje z bólu, nie miota się, nie stracił boskości, a nawet ludzkości piękna i oceanidy, okrążające skałę, są udatne same w sobie, zwłaszcza ta, co pełnym wdzięku ruchem, rozkochanej kobiety, usiłuje odpędzić sępa. I ten sam szablonowy pomysł tkwi w szlachetnie zkądinad wykonanej brązowej grupie Brodzkiego, którą Warszawa widziała w gmachu Sztuk Pięknych, w jesieni 1901 roku.

Myth Prometeusza mógł jednak dostarczyć szczęśliwych rycerskich motywów. Pod dłuto rzeźbiarskie nadawała się zwłaszcza chwila porwania ognia, święcona w Grecyi, a przekazana nam przez sztukę klasyczną posągiem, który się znajduje w zbior-

rach Torlonia, a o którym powyżej była wzmianka. Chwila nawskroś artystyczna i rzeźbiarska jest, chwila czynu, której inne momenty były pobudką lub następstwem tylko. Zadanie to podjął i jemu w zupełności podołał Pius Weloński.

Na starożytnych wykarmiony wzorach, tworząc pod włoskiem niebem¹⁾, na włoskim, dla rzeźby tak odpowiednim gruncie, Weloński zupełnie klasycznie zrozumiał patrona lampadatoryi, u którego ołtarza, młódź ateńska zapalała pochodnie, przerzucane potem z rąk do rąk. Przedstawił go w biegu, podobnym do lotu, w polocie, jaki przystoi rzeźbie, co się od materyi, bez pogwałcenia harmonii, odrywać nie daje. Wysmukły Prometej w prawem, prostopadle niemal nad głową, w górę wyciągniętą ręką trzyma pochwycione dopiero co zarzewie. Prawą, śmiało po za siebie odrzuconą stopą nie dotknął jeszcze ziemi, lecz lewą wparł się silnie w odłam skały, jak ktoś, co spada z wysoka, z całą mocą poprzedniego rozpędu, z całą siłą doścignionego celu, przyczem lewem ramieniem, dla tem lepszej równowagi oplótł wysuwające się z archaicznego hermesu popiersie Temidy, z przewiązką na oczach. Głęboki i nad wyraz poetyczny symbol, nie dowolny, luźny, sztuczny, lecz związany z du-

¹⁾ W styczniu 1896 r. Weloński, odwołując się do współnych, na wiosnę 1894 r. po Rzymie wycieczek, do rozmów o sztuce, w pracowni jego, na via Margata, nadesłał mi fotografię dopiero co wykonanego w glinie Prometeusza, którego w pięć lat po tem Warszawa widziała odlanego w bronzie.

chem prometejowego mythu a w technicznym znaczeniu klasycznie dobrany.

Przedziwną jest lekkość tego brązowego Prometeusza, lekkość młodości, siły, śmiałości i zapału, a lekkość też ściśle rzeźbiarska i klasyczna. Już odwiany w locie skraj chlamydy z bioder przedziwnego gimnasty, zdaje się zbyt czynnym, by podnieść wrażenie ruchu, lub dodać lekkości młodzieńczej postaci. Lekkość tę stanowi harmonia linii, wzdęcie piersiowej klatki, bioder uszczuplenie, towarzyszące rozpędowi, uwydatnienie żeber, cudna linia pleców i krzyża i wyciągniętego nad głową ramienia.

I tytaniczność Prometeusza tkwi tu, w harmonii i pełni linii. Krytyka nasza zarzucała mu brak siły, jakgdyby siła zasadzała się na byczym karku, powykręcanych w powrozy mięśniach ramion i gołędzi, lub przesadnych rozmiarach. Do miniaturowych rozmiarów zredukowane Dijoskury w Monte cavallo nie przestaną być siłaczami, ścigającymi z nienaruszonego spokoju siłą rwące się rumaki. By je powściągnąć, nie koniecznie trzeba rozkręcać się i wpierać piętami w ziemię, jak to czynią one brązowe chłopcy przy Anickowym moście w Petersburgu. A w Neapolu! Synowie Lykura za ledwie wyszli z pacholęstwa, a byk farnezyjski wyrwać się im nie może. Siła wraz ze skupieniem woli zarysowała się podłużną zmarszczką na młodzieńczem czole Prometeusza. Mamy go przed sobą w kwiecie wieku i szczęśliwości, w chwili, ku której skierowane były wszystkie jego dążenia i od której zależne są przyszłe jego losy. Przed chwilą,

wielkich swych zamysłów natchnieniem zbudzony, wyrwał się z objęcie Heziony, z rozkosznych kryształowych, opalowych Okeanosa świetlic. Przed chwilą białe dłonie Oceanidy gładziły, pieściły włos jego bujny, falisty, miękki, złotawy—bo złotawy włos był właściwością opiewanych przez Greków bohaterów i włos złoty, bujny, miękki wiję się nad czołem brązowego Prometeusza Welońskiego. Teraz zburzyły go nieco podniebne wichry, gromów zwiastuny. Pod wązkiem, prawidłowem, idealnem czołem brwi się ściągnęły, śmiałych zamysłów i świadomości celów skupieniem, usta się rozchylają do trymfu okrzyku... *Evoë!* na cudnej młodzieńczej twarzy zapal walczy o lepsze z dojrzałości rozważą, lecz się zarazem rozlewa zaduma i smutek nieoddzielne od najśmielszych bodaj zamysłów. W tym to smętku tkwi modernizm dzieła. Smutek ów to przeświadczenie o znikomości wszech co na czołe myśliciela gasi trymfu blaski. Tego smętku sztuka klasyczna nie znała. Tkwi też w nim coś, po nad modernizm, coś nam swojskiego, właściwego, coś, co tę kreację o greckim, klasycznym — w najlepszym tego słowa znaczeniu, zakroju, czyni nawskroś oryginalną, wyciskając na niej „narodowe, ba, rasowe znamię ową „hautesse poetique“, odznaczającą wszelakie koncepcje Welońskiego, wiążącą w jeden akord Prometeja z salutującym cezara gladjatorem. Szlachetność wrodzona, duma cicha i cicha a głęboka i aż rzewna zaduma są cechami znamionującemi dzieło naszego ziomka, niewątpliwie najznakomitszego współczesnego rzeźbiarza.

Weloński, tworząc swego Prometeusza, w chwili

dojrzałości talentu i w pełni natchnienia, nietylko dokonał wielkiego i pięknego artystycznego dzieła, lecz jedynego w nowożytnej sztuce. Jego Prometeusz wobec Prometeusza ze zbiorów Torlonia zajmuje miejsce, jakie we wszechświatowym piśmiennictwie zajął wobec „Prometeusza w Okowach“ Eschylosa, „Prometeusz Rozpętany“ Schelley'a.

IX.

Nie ma cichszego zakątka, jak cmentarz protestancki w Rzymie. Ot, sobie cmentarz wiejski, u wrót wiecznego miasta, u stóp szarej piramidy Celcijusza, kosz kwiecica i zieleni „a green slope“, jak go gdzieś w swych listach, nazwał Schelley. Nigdzie, ani nawet w watykańskich ogrodach, glicynije nie spadają taką kwietną kaskadą. Nigdzie, ani nawet w łaźniach Tytusa, perlista rosa nie drży na liściach tak długo. Nigdzie, ani nawet na Paltynie i na zrębach łaźni Karakali, polne maki nie kwitną tak obfitą purpurą. Nie ma tu nie z przepychu włoskich „Campo santo“ i tu w najcichszym kątku cichego cmentarza, leży kamień, a nim napis:

„Cor cordium“.

Serce serce! W tem Shelley cały! to, co dłoń przyjaciela zebrała ze spalonych na stosie prochów, serce otwiera na wszystkie krzywdy i skargi, wiel-

kie jak świat, w którym się też cały świat odbijał, serce!

Nie tu miejsce roztrząsać burzliwe, a tak krótkie życie Shelley'a. Dość, że żadne cierpienie osobiste—a do dna pił kielich goryczy—nawet społeczne rany, na które był tak tkliwy, nie zdołały zachwiać jego genialnego optymizmu, wierzy w nieograniczony postęp ducha ludzkiego i to filozoficzne stanowisko zapewnia mu odrębne miejsce w plejadzie poetów XIX stulecia. Wierzył-bo, niezachwianie wierzył, w moc przyrody, w jej doskonałość i harmonię skończoną i na tem budował wszechwzwoleń gmach szczytny. Rozwinięty do najwyższego stopnia jego indywidualizm, ani na chwilę nie przysłonił mu całości: „a whole“. Pogodny, grecką pogodą, lecz panteista raczej na wzór panteizmu aryjskiego, wpadł z natury rzeczy w metafizyki oderwania.

Zresztą rozterki, w jakie popadł z rodziną, szkołą, społeczeństwem, utartą moralnością, zaledwie z pacholęstwa wyszły Percy Bysshe Shelley opłacił sowiec spadającymi zewsząd na młodocianą głowę klątwy: banicyą, niedostatkiem, osamotnieniem i aż po za przedwczesną mogiłę, ociąganiem się należnej sobie sławy¹⁾. Nie jestże to dość, aż nadto! dla starcia najczarniejszej bodaj plamy, a cóż dopiero znaku, w którym, na zwieczonych, młodzieńczych czołach, współcześni upatrują często-

¹⁾ Nawet Taine w swej pięciotomowej literaturze angielskiej zbywa Shelley'a zbyt sumaryczną wzmianką.

króć potępienia, a potomni witają geniuszu znamię.

Zresztą, genezę dzieła poety wywodzić wypada nie z samych wypadkowych zwykle, danych życia, nie z samego tylko, jak to chce szkoła Taine'a, środowiska, lecz rzadziej z samej duchowej treści poety, na którą środowisko wpływa niewątpliwie, lecz nie wszechwładnie i w każdym wypadku, w jednakowej mierze. Na genezę „Prometeusza Rozpętanego” światło paść może tylko z panteistycznego, w najwyższym stopniu, nastroju poety i z jego wielkiego, płomiennego serca: „Cor Cordium”, Serca serce! Bilo ono współczuciem dla każdego cierpienia. Shelley był z rodu tych swych ziomków, którym, chociaż w politycznym znaczeniu rewolucjonistami nie byli, nie wystarczały ogłoszone przez rewolucję francuską: „prawa człowieka”, którzy się domagali *praw* dla krzywdzonych i wyzyskiwanych przez człowieka, zwierząt; lecz największą chwałą serca Shelley'a, miarą jego wielkości, nie to będzie, że się oburzał na męczarnie zadawane psu w grocie *del Cave*, pod Neapolem, gwoli uciechu gawiedzi turystów, lecz to, że umiał współczuć nieszczęsnej Irlandyi. Do popędu litości na widok fizycznych katuszy zwierzęcia każdy wznieść się chwilowo może, lecz nie tak nie oślepią i wykrzywia serca ludzkiego, jak głucha lub otwarta walka pomiędzy podbitym i podbijającym narodem, a co najciekawsze, to, że podbijający bywają zwykle najmniej skory do uznania krzywd wyrządzonych. Wielkie serce Shelley'a otwierało się dla kwitającego w głuszy kwiecia i dla wędniejącej w klasztornej mroku

Emilii Vivani. Oplakany cień Beatryczy Cenci dźwigało z ojcobójstwa otchłani aż do Antygon rzędu i otwierało się na oścież dla Byrona, którego oślepiająca gwiazda trzymała go w pomroku i dla Keats'a, w którym z okrzykiem tryumfu witał mającego go prześcignąć współzawodnika: „*a rival who will fast surpass me*”.

Jak mały udział w genezie „Prometeusza Rozpętanego” miały życiowe ewentualności widać już z tego, że pieśń o wszechszczęśliwości powstała w lecie 1818 i 1819, w których same klęski były w Shelley'a. Dzieci mu umierały, krępowały go szczupłe materyalne środki, gryzła go mierność powszedniego życia i kto wie czy pożycie z Maryą Godwin, w towarzystwie nieodstępnej szwagierki, było doskonale szczęśliwem. Przy bliższem przyjrzeniu się, Marya Godwin nie robi wrażenia kobiety, zdolnej zrozumieć genialnego męża. Choremu, złamanemu na ciele i duszy, dopiekała zjadliwa krytyka. Nikt go nie czytał. Trawiła go może tęsknota za ojczyzną, bo chociaż jedyną struną głuchą harfy Shelley'a jest patryotyzm, co mu można wybaczyć wobec potęgi szczęśliwej Anglii—i chociaż mistress Shelley upewnia, że się jej mąż wzdragał na samą myśl powrotu do ojczyzny, w jednym ze swych listów Shelley pisze wyraźnie, że bądź co bądź, najłatwiejby mu było być w Anglii, gdyby mu na to pozwalały materyalne środki.

A jednak, chociażbyśmy chcieli najzupełniej oddzielić—jak się tego Shelley domaga, w jednym ze swych listów, z 1821 r.—poetę od człowieka; chociażbyśmy ewentualnościom życiowym, jako zale-

żnym, w znacznej mierze, od trafu i przyczyn zewnętrznych, nie przyznawali stanowczych na twórczość poety i tejsze twórczości wpływów, są takie, których poeta uniknąć nie może: wpływy rasy, kultury i tych zjawisk zewnętrznych przyrody, które, działając najsilniej na wyobraźnię, nadają kierunek twórczości. Rasa anglo-saksońska odznacza się wygórowanym indywidualizmem i szczególną podatnością do idealizmu. Ona wydała „Raj utracony“, „Manfreda“, „Don Juana“.

John Ruskin skalę ideału usiłuje uczynić dostępną tłumom — Shelley, przeciwnie, esteta innej niż Ruskin miary, wzbija ją do ekstazy, która wkracza nawet w powszednie jego życie. Utrzymuje wprawdzie, że go książki niczego nie nauczyły:— „*I read books... they seem to teach me nothing*“, lecz klasyczne wychowanie w Eton i Oksfordzie, nauczyło go rozumieć i podziwiać Eschylosa, z którym się nie rozstawał i którego tom miał przy sobie, gdy utonął. Shelley nie jest jednak hellenistą takim, jakim był Keats na przykład, a klasycyzm nie narzucał mu bynajmniej swej konkretności. Wreszcie panteizm Shelley'a, to panteizm północy, panteizm Spinozy i monistycznemu absolutowi hołdującej Anglii, panteizm Aryjski, wedyjskie ziarno soli rozpuszczone w morz bezbrzeżu, nie zaś grecki ekstrakt mórz, bryła soli ociosana w posąg ludzki; nie żywa indywidualizowana istota, lecz niepochwytnych monad tłumy, rozprysniętych w tęczowe pyły, skrzydłem metafizyki wzbite na zawrotnej utopii wyżyny. Odmienna ta dwoistość panteizmu greckiego i aryjskiego wybornie się uwydatnia w dziele Eschylosa

i Shelley'a: „Prometeusz w kajdanach“ pierwszego był, jakśmy to widzieli, opoką, posagiem, „Prometeusz rozpętany“ Shelley'a będzie iskrą lotną, co wszystko przenika, lecz się pochwycić nie daje, przelewem morza w słońcu, gwiazd i słońce mglistem, choć olśniewajacem kołowaniem.

Włochy jednak wycisnęły swe piętno na twórczości poetyckiej Shelley'a. Jeśli „*Alastor*“, „*Królowa Mab*“, „*Mimosa*“, mogły powstać tak dobrze w Szwajcaryi, jak na wybrzeżach Szkockich jezior, to wątpić można, czy Shelley wyśpiewał by „*Adonaisa*“, lub „*Epipsychidiona*“, wśród mgły Albionu, a już „*Prometeusz Rozpętany*“ mógł wystrzelić tak śmiało i wysoko tylko pod ożywczym wpływem południa wśród ustawicznego, niezem nie krępowanego obcowania z przyrodą: „*perpetual commerce*“, w którym poeta upatruje, jak o tem gdzieś pisze, źródło harmonii, to jest doścignionego przez Grecyę absolutu piękna. Z takiego to ustawicznego obcowania z przyrodą południa, powstał Prometej nowy, skąpany w „wszechwidzącem słońcu“¹⁾, ślaniający się pod „krętami wichry“, rozdzwoniony słodyczą „pojednań“, nie mógł powstać w pustkowiu skrzepem, wśród wiekuistych szarych godzin północy, lecz tylko na „wybrzeżach wysp ludnych i szczęśliwych“. Błogosławiona godzina, w której Shelley zjechał do Włoch.—Gdyby był pozostał w Anglii nie mielibyśmy „*Adonaisa*“ i „*Epipsychidiona*“, a co więcej, nie mieli-

¹⁾ W przytoczeniach z „Prometeusza Rozpętanego“, posługuję się pięknym przekładem p. F. Jezierskiego.

byśmy „Prometeusza Rozpętanego“, i „Rodziny Cenci'ch“ (The Cenci), dwóch odmiennych bardzo, lecz nie zrównanej miary arcydzieł wszechświatowego piśmiennictwa.

Shelley przybył do Włoch w marcu 1818 r., w części dla ratowania nadwątlonego zdrowia, bardziej dla użycia odmawianej mu w ojczyźnie swobody. Miał lat dwadzieścia sześć. Przedtem oprócz rozpraw i pamfletów, nie posiadających artystycznego znaczenia, napisał „*Queen Mab*“ i „*Revolt of Islam*“.

Włochy przemówiły doń odrazu potężnem swem zaklęciem. Pod najpiękniejszym niebem ziemi, nad turkusowych wód tonią, spotkał go legion kamiennych bogów i bohaterów, takich, że się przed nimi zgięły nieugięte dotąd jego kolana: „*the gods we should worship*“, jak to gdzieś pisze. Zetknięcie się z klasycyzmem pobudziło w nim twórczość. Wchodząc w samego siebie i skupiając oderwania właściwe swemu genjuszowi stworzył „Prometeusza Rozpętanego“, wylaniając się zaś z samego siebie stworzył najkonkretniejszą z tragedii „*The Cenci*“. Co najciekawsze, to, że dwa te tak odmienne, że aż wierzyć trudno, by z pod jednego pióra wyjść były mogły, arcydzieła, tworzył jednocześnie, lecz „Prometeusza Rozpętanego“ rozpoczął wcześniej, we wrześniu 1818 r., w willi Byrona *I capucini*, w pobliżu Este. Dokończył w Rzymie, na wiosnę 1819 r.

W poczęciu Prometeusza, w willi i towarzystwie Byrona, Byron najmniejszego chyba nie miał udziału. Samą naturą swego genjusza Shelley wymyka się z pod wszelakich wpływów, a w nadzwyczaj ciekawym stosunku zażyłości dwóch równej choć

odmiennej genjalnej miary poetów, przewaga jeśliby i była jednego nad drugim, wypada na stronę cichego, skromnego, w wieczystej, wewnętrznej ekstazie zatopionego Percy Bysshe Shelley'a nad dumnym i o lat kilka odeń starszym lordem. Czuł to Byron, gdy pytał, co by mu zostało, gdyby Shelley posiadał należne sobie uznanie. Percy podobnych pytań sobie nie stawiał i chociaż nie mógł się pogodzić z bezładnem życiem syna gwałtownej lady Byron, ani z jego arystokratyzmem: „*the canker of aristocracy*“, genjusz Byrona podziwiał bez żadnych zastrzeżeń. Gdyby jednak zażyłość z Byronem była się przedłużyła, odbiłaby się może ujemnie na twórczości Shelley'a. W maju 1822 r. pisał on do jednego ze swych przyjaciół: „Nie piszę, za długom żył obok lorda Byrona i blask słońca zgasił świecącego robaczka“.

Szczęście, że skromny Shelley znał miarę swej wartości, wiedział, że nie od samego powodzenia ona zależy. Nie chciał być satelitą i cierpiał nad tem, że zająć nie mógł należnego sobie stanowiska: „*It offends me to see my name classed among those who have no name*“. Wolał być „niczem“—*nothing*—niż kroczyć w bezimiennych szranki. Nie kryła się pod tem zazdrość—na to Shelley był za wspaniałomyślnym, oto go sam Byron nie posądzał, gdyż podobne posądenia stanowią właściwość karmiących się ezolobitnością pochlebców zarozumiałości.—Kryła się gorycz nie odłączna od stałego a niezaskuszonego niepowodzenia. Może trzeźwieszy i bystrzejszy od Shelley'a Byron, rozumiał tajemnicę niepowodzenia współzawodnika, wiedział

że leży na dnie samej natury genjuszu Shelley'a. Dziś jeszcze kult rzekomy piewcy „Prometeusza rozpętanego“, jest więcej rzeczą mody, niż istotnego przejęcia się jego dziełem. W szeroki ogół nie wsiąkł i nie wsiąknie. Shelley nie może zostać popularnym bo, słusznie pisze Zygmunt Krasiński ¹⁾, że poezya „po za granicami ludzkiej prawdy trafia do mózgu kilku nielicznych myślicieli, ale nie przyspieszy bicia serca większej ilości ludzi“. W całym dziele Shelley'a sam dramat *Cenci* przyspieszyć może „bicia serca większej ilości ludzi“.

Na początku 1819 r. Shelley zjechał do Rzymu, który wywarł na nim piorunujące wrażenie: „*the impression of it exceeds anything I ever experienced*“ — pisze. Stolica umarłych zdała mu się stolicą nieśmiertelnych wobec których niczem żyjących karle pokolenia: „*pussy generations*“. Z niskich komnat w pałacu Barberini, gdzie mu, z pod białych osłon wyrzały oczy gazeli i tajemnicza dusza Cenci'ch ¹⁾ wyszedł przez wąskie ulice i kręte zaułki ku ruderze przeklętego Cencich domu, a gdy się pod niskiem, zezerniałem sklepieniem nasłuchiwał jęków i urwanych rozpacznych krzyków, wra-

¹⁾ Do Henryka Reeve.

²⁾ Jeszcze na wiosnę 1894 r. na piaszczystym wybrzeżu Tybru sterczały rudery pałacu Cencich, zamieszkałego przez wyrzutków zaledwie zniesionego *Gheto*. W 1898 r. rudere straszną przedtem, lecz charakterystyczną zastałam przekształconą na ohydnie banalną kamienicę, jakich jest pełno na pobliskiej, szpetnej via Giubonari. Słowo *cenci* oznacza po włosku gałgany, łachmany, bywa w tem znaczeniu używane.

cał splełanych zaułków siecią, wzdłuż byłego teatru Marcelego, pod podnóżem Orsinich pałacu, mijal Palatyna wzgórze, Koloseum, łuki Tytusa i Konstantyna, szedł wśród winnice ciche i ogrody wonne wprost do łaźni Karakalli, gdyż tam trawił długie godziny, wykończając „Prometeusza Rozpętanego“.

Pracownia godna dzieła, wizya poetyczna godna wypełniać podobną pracownię. Ponad nią sam Bóg Ojciec z Sykstyny mógłby rozkazującym, wszechmocnym ruchem, rozdzielać światło od ciemności, tyle tu blasków spada z nieba, tak głębokie cienie padają u stóp na poły rozwalonych filarów. Przez szczyby i wyłomy wzrok bieży po najpiękniejszej z dróg całego świata, po pustynnej via Appia. Dalej, na horyzoncie, wśród fioletowych eterów wiaduktów przerwane rzędy i cisza, nieznaczna cisza rzymskiej Kampanii, a tu bliżej cisza, niezrównana cisza rzymskich rumowisk. Coś zaszeleści pod zwojami bluszców owijającemi rozgruchotane głazy, mignie coś w słońcu... kameleonów roje! setne swe wychylą lepki, setnemi mrugną oczami. Coś zaskrzypi w dali... wóz o wysokich kołach, jak marmurowa *biga* z Watykanu, w siwych bawołów zaprzężony parę. A ci z dzidami w ręku, ostrogami u nóg, w pół dzicy jeźdźcy to pasterze zapędzający bawołów stado. Przemkną kozy płowe i ich pastuszki przystaną tak, jakgdyby się na nich sam Skopas patrzył, a czarne, włochate jak same satyry, płomieniem okiem ścigają posuwające się pomiędzy ogrodzeniem winnic karyatydy, kapłanki, ofiarnice... nie, zwykle z Zatybrza kobiety, niosące na głowie z ge-

stem karyatyd, kapłanek, patrycyuszek, płaskie kossze pełne fioletów lub purpurowych maków, za które posypią się na Piazza d'Espagna, *soldi* i *liry* forestierów.

W takim to godnym siebie przybytku, zaczął się być Pan, co mistrza Schelley'a wtajemniczył we wszystkie swe ziemskie i zaziemskie misterya. Bo Pan nie umarł, chociaż go oplakały greckie wybrzeży echa. Nie umarł, tylko się był przyczaił, het, precz, w polach, lasach, w duszy i sercu ludzkim. Na północy spoważniał piastowany przez metafizykę, odganiany przez reformację, ale we Włoszech już się był rozśpiewał w nawoływania słodkiego świętego z Asyżu, ukrył pod tysiącami ołtarzami, w tysiącach kościółkach i kaplicach i żył i rósł spokojnie, wówczas nawet i wówczas zwłaszcza, gdy go nikt, w zmienionej postaci, nie uznawał. Przed Shelley'em odsłonił się w zupełności, a jednocześnie w mroku rozwalonych filarów zamykało na hebanowym tronie Demogorgona widmo tajemnicze, a glorie słoneczne skruszyły więzy Ogniodawcy. I na raz wszystkie od greckiej doby przecierpiane przez ludzkość — Prometeja, krzywdy i bóle, krzyknęły o koniec, o nagrodę w nieskończonej szczęśliwości. Wołanie to namiętne, płomienne objęło całe serce poety, rozsadziło konkretne, klasyczne starej bajki formy: Prometej, dotąd uosabiający dostojeństwo ludzkości, niezależność, ofiarność, wolną wolę, indywidualizm, słowem Prometej człowiek, bohater, wzbił się na zaobłoczne wyżyny, strząsnął z siebie indywidualizm jako szatę zwierchnią, w kosmiczne wkraczając kręgi, rozplynał

w wszechświecie. Nie jest to przedmiot odpowiedni dla popularnej poezji, ani też, jak to zobaczymy poniżej, dla dramatu, lecz przyznać trzeba, że większej, szerszej, śmielszej poetyckiej wizji i koncepcji, historia sztuki nie posiada.

W jednej z przepięknych wedyjskich legend ¹⁾ stoi: „nie światy kochasz, lecz w światach Atmana kochasz, światy kochając”. Nikt chyba goręcej od Shelley'a nie ukochał *Atmana*, to jest moc, poruszającą światy. Mocą tą jest absolut dobra. Żeśmy emanacją „dobroczynnej mocy”, co porusza nami i kieruje na wszechświatów szachownicy, stanowi jądro wierzeń Shelleya. Byron w liście do Moror'a świadczy o głębokiej wierze Shelley'a w nieśmiertelność, a w „Adonaisie” czytamy wyraźnie, że Keats nie umarł: „*is not dead*”, lecz do nowego zbudził się życia. Wobec tego jakże błędnie ów przekrzywany ateizm Shelley'a! Patrzącym z oddalenia przyciszonych namiętności, wydaje się nam pacholęcą igraszką, a Shelley sam pisze, w jednym ze swych listów: „*I took up the word as a knight took up a gauntlet, in defiance of injustice*”. Słowo, puste słowo! nazwa podjęta jako rękawiczka, z przesadą, właściwą młodocianym ludziom. Rozprawa o „potrzebie ateizmu” — *the necessity of Atheism*, pisana była w Oksfordzie, w 1810 r., to jest, gdy jej autor miał lat osiemnaście i chyba zła wola uważać może zuchwałe przechwałki wyrostka — chociażby genialnego, jakim był Schelley — za wy-

¹⁾ Zacytuowano „Yajnowalkija”.

raz dojrzałych przekonań. Wyrazem tym był dopiero „Prometeusz Rozpętany”. Ateizm jest przeczeniem, a arcydzieło Shelley’a jest jednym aktem twierdzenia, namiętnego twierdzenia, przeciw oczywistości, po za objęte zmysłami granice, jednym hymnem na cześć nieśmiertelnej szczęśliwości. Wzryć swą złotą wzbił na najśmielszej spekulacji a Prometeusz, co mu służył za pretekst raczej do epopei, niż za przedmiot dramatu jest nawskroś chrześcijański i tem się różni od greckiego. Za mało mu „zrównać się w potęgę z Zeusem”. Prześciga go „sercem i wiedzą”; zbył się „nienawisći starej”, *przebaczył* wrogowi! wie, że nie tak nie cięży, nie poniża, jak zło, to też wiekuistą kłutwą nad nadużywającym władzy Zeusem, brzmia słowa: „*Do thy worst!*”—brnij w złem! Człowiek Shelley’a, ludzkość, uduchowiona przez miłość „wzbiłaby się na gwiazdy niedostępne”... gdyby jej nie ciążyły wagi: „trafu, śmierci, przeznaczenia”. O wagach tych zapomina sam poeta i porwany transcendentalną ewolucją odrywa się zupełnie ze swym „Prometeuszem Rozpętanym”, od zaklętego tchem Grecyi w konkretność i indywidualizm prototypu.

Jeśli pisząc „Cencieh” Shelley, jak to sam zeznaje, wyłonił się sam z siebie i zdobył na najzupełniejszą obiektywność wobec „rzeczywistości”, tworząc przez to dramat doskonały, to przeciwnie, tworząc „Prometeusza rozpętanego”, skupił się sam w sobie, pogłębił właściwości swego genjuszu, zatonał w oderwaniu. Grecka tragedia, indywidualizująca nie tylko nieśmiertelną ludzkość, lecz siły

przyrody, skupiająca „poruszającego światy Atmana”, wedyjskiego, w konkretnym typie bohatera — protagonisty, przedzierzgnęła się w epopeję przyrody, wszechświatów, a *w hole*, olbrzymią, z pod zmysłów wymykającą się całość, wobec której Ziemia — „rosy kroplą”, miesiąc — „otrząśniętym listkiem”, a człowiek?.... cóż dopiero człowiek, pyłek nikły, atom, monada.... przegub „w łańcuchu myśli, miłości, pokoju”, dźwięk jeden w wiązanej, do mety dźwięczności dociągniętej, mowie.

X.

Zygmunt Krasiński pisze ¹⁾.... „we wszechświecie całym istnieje jeden, jedyny przedmiot poetyczny, który nie jest ani Bogiem, ani przyrodą: człowiek, działający w nieśmiertelnej indywidualności swojej, po przez przyrodę, z Bogiem lub przeciw Bogu”.

Jest to najzupełniejszą prawdą o ile się nie odnosi do poezji na ogół bez dramatu. Zadaniem dramatu wcielać w konkretne formy pewne wnioski i ideały, przeprowadzając je przez akcję. Ścieranie się przyczyn z następstwami nieprzemierzonych namiętności i nieprzepartych konieczności, kolizye pomiędzy biegiem rzeczy idealnym lub przyrodzonym a sztucznym, wewnętrzne rozdwojenie, stanowią właściwą, dramatyczną akcję. Im głębsze są motywy, im naturalniejsze i sprawiedliwsze prawa, sytuacja bez wyjścia, a akcja prostsza i konsekwentniejsza, tem dramat dramatyczniejszy. Dla te-

¹⁾ Do Henryka Reeve.

go też przedmiotem dramatu może być sam człowiek, lub idea tak doskonale wcielona, że aż nabierze indywidualizmu. Z tego już wynika, że się dramat musi wspierać na konkretności, którejbyśmy na próżno, w dziele Shelley'a—z wyjątkiem *The Cenci*—szukali. Napróżno byśmy też w „Prometeuszu Rozpętany” szukali właściwej dramatycznej akcji lub protagonisty. Ogniodawca, bohater z krwi i kości, „człowiek z nieśmiertelną indywidualnością”, wedle słów Krasińskiego, zapadł gdzieś skroś ziemi wraz ze skałą, do której go, za dni Eschylosa, przygwoździł gwałt pod przemocy okiem. U Shelley'a widzimy zaledwie „cień stargany, wśród gór wiszący na wichrów stolicy”. Ów cień, jak bohater z przed dwóch tysięcy lat, skarży się na swe krzywdy matce—Ziemi i skarży się w eschylosowym stylu, powściągliwiej jednak, jak nowożytnemu bohaterowi przystoi. Zmęczony, utęskniony liczy „gnuśne godziny”, wyglądając tej, co do skrwawionych stóp jego ciemiejącą przywlecze. Hermes i teraz jak dawniej, jest wóznym Zeusa, lecz spowaźniał, nie ośmiela się teraz lżyć ogniodawcę; schlebia mu owszem, a „mądry”, a „dobry” wciąż ma na ustach, a nawet nabrał tyle sympatyj dla skazańca, że mu się „bez niego niebo, piekłem zdaje”.

Kłamie bezczelnie, bo łgarz to znany, dworak, siły i powodzenia zausznił znany. Kłamie... zresztą kto go tam wie! Zmieniły się czasy, a czas to czarodziej, co wielkich dokonywa przewrotów! Może istotnie wieki wieków dobiegają do chwili prorokowanej przez Shelley'a, w jego poetyckiem natchnieniu. Może istotnie „uśmiech skargi znędniałej po-

staci skrzywdzonego", rozbrajać będzie wroga, wzruszać, niby wyrzut sumienia, krzywdziciela. Hermes i teraz, jak ongi, zastaje Prometeja niewzruszonym. Nie wzruszają go nawet Furye; dziwi się im jeno, że się umieją cieszyć „pod brzydoty piętnem”. Nie nie wzrusza stałości jego „płonącej duszy”. Furye bezsilne nad nim, opuszczają go, oprócz jednej, najcichszej lecz i najzajadlejszej, nowożytnej zresztą bardzo—prócz jędzy zwątpienia. Ta niemal o rozpacz przyprowadza męznego skazańca! Może się na nie nie zdała jego ofiarność? Może ci, co za ludzkość giną, tysiąckrotne męki przysparzają nie tylko sobie, lecz i ludzkości ukochanej? Czyż wraz z iskrą wiedzy nie wpada w duszę człowieka zarzewie żądz i trawiącej nadziei gorączka? O! bo „Miłości brak!” a na zwłokach świata, wspólne lzy „leją zwyciężeni i zwycięzcy”. Prometej radby zapaść w nicość, w mogiłę, kryjącą „wszystko co piękne”.

Otrząsa się jednak z omdlenia woli. W bezsennem sumieniu samo zło woła o zapomnienie a sam „cień” dostrzeżonej prawdy pokrzepia. Zresztą Prometeusza otaczają:

„Czarowne duchy te, których domami,
Są myśli ludzkie, kryjome pieczary”.

Bohater nasz nabiera otuchy i oblicza ilekroć to już:

„Na prochu zgasłych, prastarych wiar,
I zapomnianych hasel ciemństwa,
Szły hasła nowej barwy i miar:
Nadziei! Swobody! Zwycięstwa!”

Bo treść tych hasel niezmienna, zmieniają się tylko ich miary i barwy. Teraz też otaczają skazańca z głębi dusz ludzkich wywołane dobre genjusze: ten opowiada o takim człowieku, co na rozszalałem morzu, własne narażając życie, deskę ratunkową rzucił swemu wrogowi. Tamten przybywa z samotnej celi mędrca, w którego myśli nowa powstała prawda. Trzeci dopiero co się zerwał z ust poety, a poeta:

„Pocałunkiem powietrznym syty...
Nie śledząc tajni ziemskich istności,
Stworzyć z nich może formy najczystsze,
Nad rzeczywisty świat rzeczywistsze...”

Rzeczywistsze, gdyż doskonalsze; bo to, co nazywamy prawdą poetyczną przerasta prawdę historyczną, czy rzeczową, zależne od wypadkowych danych. Pod kojącym wpływem tych głosów uspakaja się Ogniodawca. Jego to iskra zatlila w sercach ludzkich to, co jest dla ludzkości tem, czem dla pasterzy wiejskich: „wiatr, pękająca tarnina i bzy”—wiosny zapowiedzią. Nie, nie samą niedolą, jak to chce ponury i jałowy pesymizm, lecz zdolnością postępu obdarzył ludzkość.

Prometej Shelley’a tak jak Prometej Eschylosa, nie strugał ludzi z drzewa, z gliny nie lepił. Większego dokonał dzieła: nauczył rzeźbić bogów na własny obraz i podobieństwo, a gdy Zeus w samowoli swej podeptał traktaty gwarantujące naturalny i swobodny rozwój człowieczeństwa, a na „Pustkowie serc ludzkich”, zesłał same niepokoję, lub „czcze cienie niedoścignionego szczęścia”,

Prometej ujął się za „ziemi wyrzutki, własnej woli rozbitki“, wzrok ich załamany przysłonił im nieśmiertelności nadzieją, a potargane pasma życia nawiązał na wrzeciono miłości. I więcej jeszcze. Nietylko tkniętym niemocą wskazał ożywcze źródła i leki „śpiące w elizejskich kwiatów zwojach“; nietylko potrafił o barw i tonów czarodziejską falę; „ujarznił ogień i nietylko ogień, żywioł, lecz i ten co jak zwierz drapieżny gra w oku człowieka“ i ten także, „co rozpala myśl, wszechświatów miarę“.

Pyszna rola. Kończy się cała w pierwszym akcie „Prometeusza Rozpętanego“. W drugim akcie nie widzimy go wcale, lecz przynajmniej Azya mówi o nim i jak prawej kochance przystoi, o nim tylko. Na początku trzeciego aktu, wyzwolony z pęt przez Heraklesa, Prometej, zbywa swego wybawcę kilku banalnemi słowy i wygłasza mowę w stylu Wilhelma II, niemal, że o „bieżącym kursie“—gdyż, jako patron sycerzy, najszerzej rozwodzi się nad sztuką. Potem wyciąga ku wiernej Azyi ramiona i znika, wraz z nią, w grocie, za zwojami kwieciami, wstępując odtąd w okres absolutnej bierności, niemy słuchacz długich i filozoficznych rozpraw swej kochanki z duchem Ziemi... aż wreszcie, przeistoczony w Księżyc, zespala się z przeistoczoną w Ziemię kochanką. Wobec tego może być mowa o akcji, lub zgoła o dramatyczności?

Azya przedstawiała zrazu żywioł arcy dramatyczny. Trudno o piękniejsze wcielenie kobiecości, która w oczach ukochanej siostry szuka odbicia, nie własnej swej postaci, lecz odbłasku „duszy“

kochanka, przez którą żyje i oddycha. Każda prawdziwie kochająca kobieta, to:

„...maść Kameleona,
W to się przebarwia, w co zapatrzona“.

I miłość wiezie Azyę do groty Demogorgona: „w głąb!... po pod świat... bez wstrętu, w krtań odmetu“... Zatopiona w swem ukochaniu, bez lęku staje oko w oko z przeznaczeń groźnem widziadłem. Z właściwą szczerze rozkochanym kobietom, aż w chępliwość przedzierzgającą się dumą, głosi zalety i wylicza zasługi kochanka, śmiało dopomina się o należne jemu stanowisko.

Jeśli miłość ślepa bywa, jeśli bywa i taka, co się wraz z współczuciem rodzi w litościwym, kobiecym sercu, to najpewniej najpiękniejszą jest ta wyłączna dla pewnego odłamu dumnych dusz kobiecych, co się wzbija na cokóły czci i uwielbienia. Tak tylko kochać są zdolne kobiety tego, co Azya pokroju, a wówczas mniejsza z tem, jakie będą ich życia i losów koleje! Chociażby piekło przejść miały na ziemi, chociażby piekło czekało je w wieczności, wypełniła się im pełna szczęścia czara. Szczęśliwe, stokroć szczęśliwe te, co spotkały i ukochały człowieka, którego wielbić mogły.

Sama ta wielka miłość Azyi dla Ogniodawcy stanowiłaby wątek dramatu. Lecz oto zaraz już zaczynają opadać z Azyi kobiecego indywidualizmu szaty. Z kochanki przedzierzga się w Sybillę, bardzo jeszcze piękną, a w artystycznym znaczeniu zupełnie podobną do tej, co nad łukiem ołtarza, po prawej ręce w Maria del Pace, w Rzymie, w akor-

dzie zwartym cudnej kompozycji Rafaela, odziana w różową szatę, odwraca się od zaczytanej w księgach starej Kumci, by wzrok, zapytań pełen, puścić za chmury. Jak tamta i Azya pyta: „Kto stworzył świat żyjący... myśl, rozum, wolę, fantazję?” i ów głos luby, głos kochanka, który, gdy milknie, świat cały głuchym nam się zdaje. Jeśli stwórcą tej największej z piękności jest „Bóg wszechmogący a miłosierny”, któż stworzył: „trwogę i szaleństwo, rozpacz i zbrodnię?”, bo mógł że jeden i ten sam pierwiastek zostać początkiem tego i tamtego...

Azya, wobec tajemniczego Demogorgona, jest myślą ludzką, dobijającą się prawdy, gotową tajemnicę wydzierać śmierci samej. Nie zadawała jej też wymijające odpowiedzi tajemniczego Demogorgona. Komuż należy władza nad żyjących państwem: otchłani nieprzeniknionej czy najlepszemu wśród dobrych, najmądrszemu wśród mądrych, najwspaniałomyślniejszemu wśród szlachetnych; temu, co rozświecił mroki, sam się oddał za okup ludzkości: „nauką potrafił o bramy nieba i ziemi”? Niestety! o same bramy tylko... lecz myśl wykrzesał „wszechświata miarę”. Nierozwiązane, palące pytania!

Wobec nieprzeniknionej otchłani, Azya Sybilla, pytająca, usiłuje pochwycić przynajmniej skraj którejś z prawd, dających się ująć, z tych, z których „Każda winna być sobie wyrocznią”, to jest tych, w których się nauka zawrzeć może, a których sama, gdyby się kiedy bądź ująć i zarejestrować dała, wytworzyłaby one wielkie niewiadome X, o które się myśl ludzka rozbija.

Nadbiegają godziny, stulecia! Mkna, ciągną,

gonią, z otchłani wzbijając się w brzaski wschodzących jutrzni. Azya przestała pytać. Sybilla jutrznianą swą szatę zmienia na mglistszą, lecz i gorętszą szatę tej, co po lewem rękę widza „we fresku Rafaela, posiadłszy wszechmądrość, prorokować gotowa. Zamknęła niepotrzebne sobie księgi: jej „wszystkie wiatry melodyami dzwonią... duch jej to łódka zaczarowana... skrzydła rozpina tam, gdzie wieczystych nut atmosfera“...

Wyżej jak w tym punkcie nie wzbija się wiązana mowa. Ale ostrożnie! Azya się nam wymyka! Kochająca kobieta przedzierzgnęła się była w Sybillę, teraz Sybilla rozplynie się w olbrzymiej, monstrualnej, panteistycznej koncepcji.

Gdzieś tam, raz jeszcze po przez metafizykę rozmowy z duchem Ziemi brzęknie macierzyństwa głosem... Słabe, daremne usiłowania zarzucenia kowci w bezbrzeżnych przestrzeniach „Wszechjednej duszy”, w głębiach oceanu kosmicznych abstrakcji. Biodra Azji zaokrąglają się, olbrzymieją, zawarły w sobie: „odmian nieskończoność“... Ziemia wchłonęła w siebie żywą, prześliczną Azyę, kobietę, Sybillę! Prometej przedzierzgnął się, gdzieś za kulisami, w księżyc, krążący do koła ziemi: „w miłosnym obłędzie”—Cóż nas księżyc w roli Romea obchodzić może? Byłby komicznym, gdyby w tem właśnie miejscu Shelley nie był wyśpiewał najpiękniejszy i najliryczniejszy z miłosnych dwugłosów... lecz i to chyba nie pociesza nas po stracie ogniokracy i ogniodawcy, rokoszanina, reformatora, świadomego swej ofiarności męczennika, tak przepięknie z indy-

widualizowanego przez ducha Hellady i dramat Eschylosa.

Dramat bo wymaga aktorów z krwi i kości. Nie mogą ich zastąpić kosmiczne przemiany. Romans pomiędzy Ziemią a Czasem zainteresowałby nas o tyle, o ileby Ziemia została wcielona w doskonale żywą Geę a Czas w bajecznego lecz jakże konkretnego Kronosa!—to jest o ileby Ziemia i Czas zostały zindywilizowane. Shelley począł z tem sobie przeciwnie: całość „*a whole*” pochłonęła indywidualizm wszelaki. Człowiek, jedyny naturalny protagonista w wszech świata tragedyi, ustąpił miejsca kosmicznym koncepcjom. Grecki panteizm z wszech mórz ekstraktu ciosał posąg Prometeusza, Shelley swego Prometeja, niby wedyjskiej soli ziarna, rozpuścił w bezmiernem morzu wszechświatów.

XI.

Można zarzucać Shelley'owi, że w metafizycznej ekstazie przekroczył ramy dramatu, których konkretność za ciasną była dla jego olbrzymiej koncepcyi. Koncepcya ta rozparła starą formę, lecz, do skarbnicy wszechświatowej poezyi dorzuciła nie-zrównanej piękności dzieło, bo, jeśli dla wytworzenia dramatu potrzeba człowieka działającego „z nieśmiertelną indywidualnością”, poezya panteistyczna „choć straci ludzki punkt widzenia, z dodatkiem fantazyi i tajemnic sztuki, olbrzymie przybrać może rozmiary”. Tak pisze Zygmunt Krasiński do Henryka Reeve.

Mało który poeta chyba rozporządzał większą od Shelley'a „fantazją” i posiadał większy zasób posłusznych sobie: „tajemnic sztuki”. Duchy, głosy, echa! godzin przypływy i odpływy, czasu kołysanki, promieni drgania opalowe, wiosny perliste szczybity, boru szmery i wonie, przeznaczeń głuche grzmoty i tajemniczej grozy mruczenia, złął w akord poetyczny, w taką doskonałość słowa i dźwięku,

rytmu i rytmu, że niewiadomo doprawdy czy to zaliczać do związanej mowy, czy do harmonii czystej w jej idealnym wcieleniu? Waha się to na rubieży poezji i muzyki. Lecz jeśli muzykalność góruje tu nad wszystkim nie wyłącza ona plastyki, nie rzeźbiarskiej wprawdzie, lecz w najwyższym stopniu malowniczej. Wszystko tu wiruje, lotne, niepochwytne, oslepiające. Świetlane blaski/zaświecają okwiecone doliny, knieje zaczarowane, grotty kryształowe i czytelnikowi nasuwają się w tej chwili widziane obrazy Corregia, Guido Reni, czasem Rafaela z Umbryjskiego okresu. Niektóre karty „Prometeusza Rozpętanego” zdają się ich poetycką odbitką. Gdy na przykład duchy „spływają jak obłoków stada, a wiatr wzdyma im skrzydła” chyłkiem, z oddechem ziemi...

„A nam się zdaje ich pęd sokoli
Grą stóp posłusznych ich krwi i woli”.

...czyż się nie zdaje, że patrzymy na sufit w pałacu Rospigliosi, w Rzymie? Gwiazdy, płynące jak ogniste warkocze komety, myśli, mknące przez ogniwa „szklistej fali”, pyły złote wirujące „między przestworzem, niebieskich sfer a sennych wód łożem”, przepojone są Corregia światłem i rozumie to Okeanos, gdy ze spotkanym na skraju lasu Apolinem przypatrują się liliowym zorzom „po przez strzępy porwanych ciemności”.

Jest u Shelley’a postać — widmo, najrozmaitsze budząca komentarze, postać Demogorgona dla malowania której barw zapożyczył u ponurego a pełnego siły Salvatora Rosa.

Kimże jest ów tajemniczy Demogorgon, rozsiadły na hebanowym tronie? „Cud siły olbrzymiej”, zwiastowany przez Eschylosa, przeciwnik Zeusa? Chyba, że nie. „Cud siły olbrzymiej” (Esch. w. 830) eschylosowy, to moc człowieka, dojrzałej w oświecenie ludzkości, narodu, to Herakles. Jestże ów podziemny Demogorgon onem Przeznaczeniem spłodzonym ze ślepej miłości Zeusa dla Tetydy, potomkiem co rozwała tron ojca, jak to chciała filozofia greckiej mitologii? W każdym razie Demogorgon zdaje się być istotnym bohaterem Shelley’a. Nie jest on mścicielem, mścicielem nad Zeusem będzie własne Zeusa widmo, Demogorgon jest Wiecznością i Wszechbytem; wobec niego Ziemia „rosy kroplą”, miesiąc „liściem opadłym”, a wichry, błyskawice, mgły, meteory jako okwitłego kwiecia puchy.

Demogorgon budzi z zapomnienia przeszłość, przyszłość jest wyrocznią, przemian świadkiem, ruchu osi, życia jądrem i z niego to się wyłaniają roje geniuszów, co ścielą gniazda w piersiach człowieka i „w ołowi bryłach”.

Demogorgon to rzeczy jądro i porządek, a jeśli wymijające daje Azji — ludzkości — odpowiedzi, to, że porządku tego w całej jego ciągłości i odmienności pochwycić myśli ludzkiej niepodobna. Prawdopodobnie jest on niezmiernie prosty, lecz tak niezmierny, że się nam z naszego ograniczonego punktu widzenia zdawać musi skomplikowanym, tajemniczym, niezbadanym, grozy pełnym. Powściągliwy podsuwa Azji pytania, których rozwiązanie pozostawia jej własnym rozumieniom. Niech tą wewnętrzną pracą myśli, co „budzi ze snu zapomnie-

nie“, wyroczone znajduje słowa. Niech jej przeszłość cała, przyszłość prorokuje, bo do takich zagłębiań się w samej sobie, obowiązana jest ludzkość. Do otworzenia tajemnicy dostępnych sobie zagadek klucz we własnej nosi głębi; „otchłani brak głosu“, lecz nie brak głosu myślom i sumieniu człowieka, a zwłaszcza już w zbiorowym jego stanie—ludzkości. Shelley kładzie zawsze nacisk na różnice, istniejące pomiędzy okresem granic dostępnych, pojędniczemu człowiekowi a ludzkości. Człowiek:

„ to zwierciadło,
Które skrzywione, z barw prawdy okradło
Piękny ten świat!“

Ludzkość zaś to:

„ myśli łańcuch szczelny:
Miłości, pokoju, wiecznie nierozdzielny,
Panujący żywiołom siłą jednolitą“...

Tylko, że poezją w bezmiar utopii porwany piewca zapomniał o granicach, w których z taką przedziwną równowagą utrzymał Demogorgona—o granicach, które dokoła człowieka jak i ludzkości zakresłone są w wszechświatów kole.

Dziwnie trudną była do plastycznego wciele-
nia „bezkształtowa, bez rysów, członków, postawy“
idea Demogorgona, lecz właśnie Shelley posiadał
środki najodpowiedniejsze dla podolania tej metafizycznej korupcyi. W Demogorgonie jest coś ze Sfinksa, a jeszcze więcej z olbrzymich indyjskich bożyszcz. Każdy ruch jego zdaje się być mecha-

nicznym, niewłaściwym, fatalnym. Głos jego wy-
roczny jest otchłani głosem i słowa głębokie, a wy-
mijające wahają się pomiędzy echem instynktów
głuchym, przekazanych, nieuświadomionych często-
kroć, a poszeptem wyrobionego, indywidualnego su-
mienia, a słowa te poruszają zarówno: ziemię
„wszechjednej duszy, Królestwo przedwieczne“,
Księżyc zapatrzonej w ziemi „pomroczone oblicze“,
gwiazdy, bogi, demonów, żywych i umarłych,
bo dla tych ostatnich „dźwięki pieśni“, są „obło-
kami całunu“.

Jednym z najgłębszych pomysłów w „Prometeuszu Rozpętany“ jest skruszenie władzy Zeusa przez własne jej widmo, odbłyśk wiernej jej działalności, rozdzielenie świadomości działającej i jaźni wewnętrznej, skryształizowania sumienia w widmo:

„W ciemnej, gwiazdami tkanej purpurze,
Żyłasta ręka, widmo olbrzyma
By dotrzeć kroku, na tle obłoku,
Błado złote berło trzyma.
Dziki, spokojny, wzrok zda się głosić:
Jam mocen krzywdę spełniać, nie znosić!...

Na przeciw, w tak potężną plastyczną formę ujętego, własnego swego widma Zeus powstaje z całą plastycznością przeżytego tchórza. Zawieszony na dyamentowym łańcuchu, gotów wszelkiemi ustępstwami okupić cień, pozór wymykającej mu się władzy. Zeus jest wysoce dramatycznym, gdyż z indywidualizowanym, gdy na szczycie tronu drży na samą myśl o ujarzmionym wrogu, dramatyczniejszy jeszcze, gdy nieograniczoną władzą upojony,

ślepa uniesiony namiętnością sam na siebie, na własną zgubę, potężniejszego od samego siebie, własnej przeszłości, własnego wywołuje ducha. Teraz spostrzega zapamiętałą omyłkę, widzi niechybny swój koniec! Pioruny odpadają jako pyłu ziarnka. od jego nagłym bezwładem rażonych palców. Po-deptana przezeń Ziemia, z pod nóg mu się wymyka. Łaski! woła ten co łaski nie znał i łaski zebrze u swej ofiary, schlebia jej, gotów się władzą dzielić z Prometejem... Zapóźno! Godzina wiekowych odwetów wybiła i nikt nie odziedziczy, w otechłan zapadłego tronu Zeusa.

Za to Herakles, najindywidualniejszy śród indywidualnych bogów Olimpu, po macoszemu, zdaje się, być traktowanym przez Shelley'a. Wcielenie czynu i impulsu, grecki Herakles nie tracił chyba nigdy czasu na dziwienie się komukolwiek, lub czemukolwiek. Wiedział, że dobrze skierowana siła tyle warta, co mądrość, męstwo jest tylko wielkiej miłości odmianą. Wiedział, że najsilniejszy winien i może być najlepszym, że najodważniejsi najgoręcej kochają, że gdyby umieć kochać, trzeba umieć i nienawidzić. Chętnie miłościom swym i nienawiściom wybijał takt maczugą, błyskawicą celnego strzału rozdzierał wątpliwości, lecz nie popełniałby chyba tej, aczkolwiek muzykalnej, lecz czezej frazeologii, w której się gubi u Shelley'a, a śród której pochwycić się nie daje. U Eschylosa, zaledwie wzmiankowany, nie wprowadzony na scenę, już się był zjawił takim, jakim stoi w Neapolu: wsparty na maczudze, spokojny, siły swej i zwycięstwa pewny.

Oceanidy Schelley'a bynajmniej niepodobne do

bosonózek Eschylosa. W porównaniu z tamtymi i tracą i zyskują, a są zupełnie odmiennymi. Tracą prostotę i przedziwną rzewność kobiecość; zyskują polotność. Tamte, to w litość zakłęte, bierne kobiece dusze—przeszłości dusze, dla których prawem każde słowo męża. Z wytworną delikatnością, właściwą kobiecości, w jej najlepszym i nieśmiertelnem znaczeniu, boją się samem spółczuciem przysporzyć bólu ukochanemu. Skromne, lękliwe doradzają mu nawet — aczkolwiek nieśmiało bardzo — ustąpić silniejszemu, a na bohaterki, w całym i najlepszym znaczeniu tego słowa, wyrastają dopiero, pragnieniem i gotowością dzielenia jego cierpień. Niezem im wówczas Hermesa pogroźki i Zeusa gromy, bo dla kochającej kobiety, Hades, byle z ukochanym zawsze być, niebem będzie.

Na podobny rzut serca Pantea Schelley'a, zdobyćby się nie mogła, a w obszernym swym i lirycznym bardzo pięknym repertuarze, raz jeden rozi głos serca: wówczas, gdy Prometej omdlewa pod razami „węzów skrzydlatych“ i chciałby spoczynek znaleźć, bogdaj w otechłani znicestwienia, gdzie mąk już niema. Wówczas Pantea odwołuje się do praw miłości i wierności:

„Czy zapomniałeś o tej co tu czuwa
O mrocznej nocy i nie wpierv zasypia
Aż padnie na nią cień twojego ducha“.

Poza tym jedynym momentem, ani Pantea, ani nawet Azya, nie są niezbędne Prometeuszowi. Wszak go tu nie otacza groza eschylosowej samotności? Roją się do koła niego Echa, Głosy, Geniu-

sze. Sama Pantea „straż i czaty“, sprawuje tu nie gwoli Prometeusza, lecz ze zlecenia swej siostry, do której stosunek jej zarysowuje się zagadkowo. Na ogół Oceanidy Schelley'a, posiadają niepokojącą zagadkowość muz, otaczających Massogeta, która uderza nas w dziełach klasycznych. W stosunku Pantei do Azji brzmi namiętna, mistyczna ekstaza, i jest tam więcej poetyckiej pozy, niż szczerości. To Safona! Jej śpiewne słowa, to „powietrze, srebrzysta rosa strząśnięta z ramion i włosów leśnej, kąpiącej się Nimfy“. Nawet, gdy pragnie zostać „roztopioną w boleść, językiem miłości mówiącą“, czuć w tem pozę modernistki niemal.

Ijona Schelley'a, nie jest oną sympatyczną eschylosową ofiarą Hery, co na Zeusa, istotnego sprawcę swej niedoli, gdy ją wszechmocą swej ramieniem potężnem zasłonić nie chce, nie uroniła przecie ani słowa skargi. Tę przeraża widmo kochanka. „Brońcie mnie!“ woła, lecz opanowawszy „spazmowe drżenie“ lęku, wpada w zacięcie amazonki, feministki omal, chwalać tytanowi, że nie ulega zwycięzcy.

Za to są tu Fauny,—szczere wśród szczerych, piękne wśród pięknych. Czy za wzór do nich służył kapitolini Praxytelesa czy ten, co flet do ust tuli, czy tamten z Neapolu, któremu Satyr udziela lekcyi grania na piszczałce? mniejsza z tem, jak tamci piękni, poetyczniejsi stokroć. Oto przystanęli na zrębie lasu, zasłuchani w melodyę boru. Chociaż domem im knieje, a gaje, łąki i moczary i pola tajemnic dla nich nie mają, młode te Fauny nie są zbyt biegłe w poznawaniu i rozumieniu du-

chów. Tem lepiej! Duchy i geniusze zdmuchnęłyby ich z przed oczu czytelnika, z niepowetowaną dla plastyki poetyckiej stratą. O duchach słyszeli jednak to i owo, i zasłuchani w boru granie, o tem rozprawiają: czem są duchy? Czy czasem nie tą kroplą opalową, co słońce wyžera z podwodnego kwecia i kopulastym namiotem rozpiera nad główkami istot tak drobnych, że ich oko ostrowidza nie dojrzy, a tak rojnych, że, same w sobie światami będąc, światów wypełniają przestworza, i tak rozśpiewanych, że bór cały wypełniają strojem niepochwytnej melodyi, i tak wonnych, jak oddech Ziemi, a tak lekkich, że są może tylko ostatnią emanacją wędnącego kwecia...

Słyszeli coś o tem... Fauny—poeci, boć są przecie uczniami Dijonyzosa, więc i baśń dają najpiękniejszą nad baśnie, a że zarazem są uczniami Arystofanesa, spoglądają na zjawiska, jak na uronione technienie nieśmiertelnego Pan'a.

I czytelnik zasłuchany jak Fauny one w nadpowietrzne melodye, rozdzwonione przez Shelley'a, zapatrzony w migotliwe, słoneczne blaski, tęczowe opary, błękitne etery, szlaki srebrne, pragnie zawołać wraz z Prometejem:

„Jakże są piękne te dzieci powietrza!“ Shelley, w „Prometeuszu Rozpętany“, świat widomy i niewidomy, przyrodzony, metafizyczny, uczuć głębie i oderwań szczyty związał w akord potężny gwoli właściwościom filozoficznym i muzykalnym, filozoficznego swego geniuszu. Fauny, o których powyżej była mowa, opowiadają sobie o słowiku, który:

„ wygląda zwrotki
Ostatniej. Gdy ta przewieje
Uderza czulej pieśni skrzydłami,
Aż zabrzmi w końcu pieśń nad pieśniami...

Tak z baśnią o ogniodawcy. Po szczeblach
wierzeń i symbolu, fantazyi i etyki, filozoficznych
i społecznych zagadnień, nauki sztuki, cykl Prometejowy, z Sheley'em dobiegł do mety. Metą ta
nieskończoność, o której Maks Müller mówi, że cho-
ciaż zmierzyć jej nie możemy, rozumiemy, a ra-
czej *czujemy* i raz pochwyconej stracić nie po-
trafimy.

Do koncepcyi podobnej nieskończoności i har-
monii wszech rzeczy Schelley wzbił się na skrzy-
dłach wielkiej miłości tej, co, wedle własnych sił
poety:

„W pełni fal i ruchu najdziksza żądzę wła-
snym powściąga wędzidłem i jak światłość najgłębsza
przenika ciemności!“

Taka Miłość „sternikiem jest i mocą“. Jest
nicia złotą, z której:

„Matka dziecka tce sukienki....
..Jest jękiem wiecznym orficznej piosenki...
...Do harmonii niebiańskiej dostraja posłuszną
Myśl i formę, bez niej niema i bezduszną“.

Wiedza wzbija coraz to wyżej drogi ludzko-
ści: grom został już jej niewolnikiem, „rumakiem
burza“ i człowiek „gwiazdy przeliczył jak posłusz-
ne stada“. Czegóż nam brak?

Miłości! Ona bowiem „sterem“, bez którego
duch ludzki błąka się na bezdrożach. Niech ludz-
kość posiędzie Miłość, a pytającej niebo o jego
tajemnice, niebo odpowie:

„Nie mam ich — odsłoniła mię dusza czło-
wieka“.

K O N I E C.



WYCIĄG Z KATALOGU
„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ
WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14) i we
wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.	CENA w opr. brosz.	
	kop.	kop.
413. Gen. Roman Sołtyk. KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	30	25
414, 415. Berta bar. Sutner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416. General kwatermistrz de Pistor. PAMIĘ- TNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417, 418, 419. Sir Edward Bulwer Lytton. ZA- NONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421. Juljusz Falkowski. KSIĘSTWO WAR- SZAWSKIE. Obrazy z życia kilku osta- tnich pokoleń, 2 tomy	80	50
422. W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA,		

Tom.	CENA w opr. brosz.	
	kop.	kop.
z rosyjskiego przełożył Józef Macie- jowski	40	25
423, 424, 425. DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieversa	1.20	75
426, 427. OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	80	50
428. LARIK. J. Gadomski	40	25
429. WŁÓCZEGA W TRÓJKE. Jerome Jero- me, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432. Z. Morawska. ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
433. Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZ- NE. Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434. Maurycey Barrès. POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435. NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów Cabanès i L. Nassa, opracowała K. Płońska	40	25
436. Antoni Gawiński. SEN ŻYCIA. Opowia- danie	40	25
437. Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460. 463. Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPI- SKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	4.00	2.50
440. Teodor Jeske - Choiński. MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE. Studium powieścio- we	40	25
443. J. Scherr. Z KRWAWYCH DNI. (Komu- na paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25
446, 447. Ryszard Voss. WILLA FALCONIE- RI. Przekład M. Łaganowskiej	80	50
449, 457. A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80	50
450. Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SY- NÓW, przekł. E. Węśławskiej	40	25
451. Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neu- feldówna	40	25

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
452, 453, 454. PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZ- NY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
455, 456. Jerzy Rodenbach. DZWONNIK. Złó- żył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50
459. Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	40	25
461, 462. Grazia Deledda. POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram-Kościałkow- skiej	80	50
464. Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	40	25

Rok 1907.

465, 466, 469, 470. Jerzy Kennan. SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisła- wa Dębickiego	1.60	1.00
467, 468. PAMIĘTNIKI KASZTELANA NAR- CYZA OLIZARA. Rok 1831.	80	50
471, 472. Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZO- RAJSZEGO. Powieść	80	50
473, 474, 475. Paulina Wilkońska. MOJE WSPO- MNIENIA o życiu towarzyskiem w War- szawie, z przedmową Zdzisława Dębic- kiego	1.20	75
476. Stanisław Kozłowski. POCHODNIA. Sztu- ka w 3-ch aktach z prologiem. Wysta- wiona na scenie Warszawskiej w dniu 16-ym lutego 1907 r.	40	25
477, 478, 479. Bonawentura z Kochanowa. WIN- CENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SY- NÓW. Wspomnienia z drugiej połowy osiemnastego i początku dziewiętnaste- go stulecia	1.20	75
480. Marion. PAMIĘTNIK. (Strofy liryczne)	40	25
481. Jerzy Grosjean (deputowany). SZKOŁA I OJCZYŻNA, przekład Maryi Wentz- lowej	40	25
482, 483. Zofia Casanova. (Lutosławska). DO- KTÓR WOLSKI. (Kartki z życia Po-		

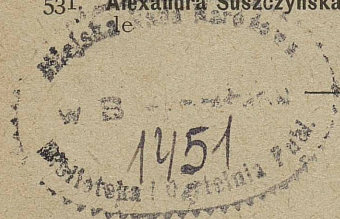
Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
laków i Rosyan). Przekład z hiszpań- skiego H. J.	80	50
484. Willa Zyndram-Kościałkowska. SZKICE LI- TERACKIE. I. Ignacy Chodźko	40	25
485, 486, 487. Henry Murger. SCENY Z ŻY- CIA CYGANERYI. Przekład z francu- skiego Zofii Wróblewskiej	1.20	75
488. Ludwik Włodek. NA PÓŁNOCY I NA POŁUDNIU. W krainie skār.—Pod nie- bem błękitnem. Wrażenia i szkice z po- dróży	40	25
489, 490. E. L. Voynich. OLIVIA LATHAM. Powieść. Z upoważnienia autorki prze- tłumaczyła Marya Feldmanowa	80	50
491, 492, 496, 497, 499, 501. PAMIĘTNIKI KA- JETANA KOZMIANA, obejmujące wspo- mnienia od roku 1780 do roku 1815	2.40	1.50
493, 494 495. Wiktor Gomulicki. CIURY. Po- wieść	1.20	75
498. E. Czirikow. NOWELE. Przełożył z ro- syjskiego B. Str.	40	25
500. Juljusz Zeyer. WIECZÓR U IDALII. Tłó- maczyła z czeskiego Julja Kreczyńska	40	25
502. Kazimierz Gliński. CO MÓWIĄ LASY LI- TEWSKIE Opowieść z poszumów drzew nadniemeńskich spisana	40	25
503. Tadeusz Rittner. NOWELE.	40	25
504. 505. Johan Bojer. MOC OPINII. Powieść. Z norweskiego przełożyła Józefa Kle- mensiewiczowa	80	50
506. S. M. Roguski. BOLKO SZCZODRY. O- braz historyczny w 5 obrazach	40	25
507, 508 510, 511. Upton Sinclair. TRZESA WI- SKO. (The Jungle). Powieść. Przekład z angielskiego	1.60	1.00
509. Tadeusz Gruźewski (S. Topór). PAŃSTWO- WOŚĆ ROSYJSKA. Serya rozpraw i artykułów politycznych.	40	25
512, 513. Eliza Orzeszkowa. ISKRY. Nowele.	80	50
514. Pamięci Jana Gadomskiego KOLEDZY	2.50	2.—
515, 516. Marya Rodziewiczówna. ANIMA VILIS. Powieść	80	50

Tom.

CENA
w opr. brosz.
kop. kop.

Rok 1908.

- | | | |
|--|------|----|
| 517, 518. Gabriel Sarrazin. WIELCY POECI ROMANTYCZNI POLSKI. Mickiewicz. Słowacki.—Kraśiński. Przekład z francuskiego Wacławy Kiślańskiej, z przedmową Jana Lorentowicza | 80 | 50 |
| 519. Wincenty Kosiakiewicz. ŻYWE OBRAZKI | 40 | 25 |
| 520, 521, 522. Marion. MIRA ŻE. Powieść. Wydanie drugie | 1.20 | 75 |
| 523. RADCA STANU A. KOLB JAKO ROBOTNIK w AMERYCE, przełożone z niemieckiego przez M. G. | 40 | 25 |
| 524. Conan Doyle. CZTEREJ. (The sign of four). Powieść. Tłom. z angielskiego Bronisława Neufeldówna | 40 | 25 |
| 525. MAROKKO, w historyi, w życiu i w pieśni, według opowiadań francuskiego podróżnika skreślił Jan Bleszyński | 40 | 25 |
| 526. Stanisław Ostrowski. A GDY SIĘ LALA KREW OFIARNA. Nowela z końca XVIII wieku | 40 | 25 |
| 527, 528. — Juliusz Falkowski. WSPOMNIENIA Z ROKU 1848 i 1849, z przedmową Tadeusza Gruźewskiego | 1.20 | 57 |
| 529. Artur Schnitzler. ŚMIERĆ. Nowela z przedmową Adolfa Strzeleckiego | 40 | 25 |
| 531. Aleksandra Suszczyńska. INACZEJ. Nowe- | 40 | 25 |



12.31